

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 30 (1766) 26 lipca – 1 sierpnia 2024



Przywódca Wolnego Świata odchodzi



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

WOJNA DOMOWA

♦ Po klęsce projektu dekryminalizacji pomocnictwa w aborcji Anna Maria Żukowska nie składa broni, za to składa projekt. Ten sam. I zapowiada, że wykorzysta czas do następnego posiedzenia sejmiku, żeby „dotrzeć do każdego z posłów, posłanek, żeby z nim porozmawiać”, bo „skoro jest to decyzja indywidualna członków klubu Polskiego Stronnictwa Ludowego, to indywidualnie będziemy z każdym rozmawiać na ten temat”. Póki co do klubu PSL dotarła Marta Lempart z wypisaną pismem obrazkowym propozycją odbicia stosunku płciowego. Zastłżone osiem gwiazdek zastąpiło pięć gwiazdek i trzy koniczynki. Przypomniała nam się wymiana okrzyków między przeciwnymi demonstracjami: – Jebać PiS! – Niech żyje PiS! – Niech żyje, będzie co jebać.

♦ „Macie prawo uważać że na tym etapie nie daliśmy rady” – orzekł łaskawie premier Donald Tusk i na osłodę wyrzucił z sań Waldemara Śługockiego, który nie głosował za depenalizacją, bo był w USA jako wiceminister rozwoju i technologii, za co przestał być wiceministrem. Śługocki przyjął wyrzucenie na klatę i nie-co tylko megalomańsko ogłosił, że „bardzo się cieszy, że mógł pracować na rzecz swojej ojczyzny”. Wyraźnie łagodniej premier potraktował Giertycha, który jest zawieszony w klubie, ale nadal ma zespół do ganiań za PiS-em. „To nie fakt, że Roman Giertych nie głosował, nie to rozstrzygnęło” – ogłosił Tusk i sam siebie przekonując rozwinął: „Nie dam sobie wmówić, że to postawa Romana Giertycha zdecydowała o przegraniu tego głosowania, bo to jest nieprawda”. Dodał wszakże szczerze, że Giertych jest mu potrzebny „w sprawach, które nas łączą”, a Giertych za to szybko obiecał nowego sygnalistę d. donosi-ciela. Symbioza.



♦ Interesujące ujęcie problemu przerywania ciąży wypłynęło w dyskusji byłego wiceministra Marcina Hołownia z PiS z aktualną wiceminister Aleksandrą Gajewską z PO. Hołownia: „Sprawa jest delikatna, więc staram się być delikatny... 100 lat temu w Stanach Zjednoczonych ktoś by pani powiedział, że jak pani uważa, że niewolnictwa nie powinno być, to niech pani sobie niewolników nie trzyma, a on ma swój własny pogląd: taki, że niewolnictwo jest okej”. Gajewska, kryjąc twarz w dłoniach: „Czy pan właśnie porównał dostęp do aborcji do niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych?”. Owszem. I wyraźnie ustawił się w roli obrońcy prawa do posiadania ludzi na własność w ramach poszanowania dla tradycji.

♦ Szymon Hołownia wypowiedział się na temat fakapu z zamknięciem i wypuszczeniem posła Romanowskiego. Z wdziękiem wyjaśnił, kto jest winny i dlaczego on jest poza wszelkim podejrzeniem: „Jeżeli co innego mówi profesor Zoll, a co innego profesor Łętowska – to znaczy, że mamy do czynienia rzeczywistości z poważnym zagmatwaniem prawnym. Ja tylko, tak po ludzku, mogę powiedzieć, że takie moje ludzkie poczucie sprawiedliwości autentycznie się burzy, gdy słyszę, że jeden poseł, który pół roku temu przez parę dni brał udział w jakimś posiedzeniu jednego z organów Rady Europy, nagle nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za nic do września kolejnego roku – to mi się to po prostu nie chce zmieścić w głowie”. Biedny Szymon, z małą główką i wielkim ludowym poczuciem sprawiedliwości. Może, jak na drugą osobę w państwie, dobrze byłoby tę proporcję odwrócić.

♦ W ramach akcji „murem za mundurem” na placu Zamkowym w Warszawie odbyły się jasełka z okazji „105. rocznicy Policji Państwowej”. Świętował marszałek Hołownia, premier Tusk, minister Siemoniak i jego trzej zastępcy, pół tuzina innych ministrów, dwójka wicemarszałków sejmiku – i wszyscy zostali przywitani po nazwisku z wyjątkiem Marcina Kierwińskiego, który siedział w pierwszym rzędzie i wyraźnie czuł się nieswojo. Potem komendant główny, insp. Marek Boroń ogłosił: „Zawsze jesteśmy tam gdzie potrzebuje nas drugi człowiek. Od rozpoczęcia kryzysu na granicy z Białorusią obrona naszej ojczyzny stała się jednym z najważniejszych obowiązków...” – i wyraźnie nie dostrzegł niejakiego napięcia logicznego pomiędzy tymi dwoma zdaniem; w końcu brudasy w lesie nie załapują się na pojęcie „drugiego człowieka”. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że formacja nawiązuje wprost do tradycji sanacyjnej Policji Państwowej, która strzelała do protestujących robotników i chłopów z entuzjazmem, jakiego nigdy nie wykazywała Milicja Obywatelska.

♦ PKP Cargo ogłosiła właśnie zwolnienia grupowe, w ramach których wypierdoli z pracy 30 proc. załogi: 4142 pracowników. PKP Cargo jest spółką de facto państwową – kontrolę nad nią sprawuje PKP – więc trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to decyzja polityczna. Kogo dziwi, że za „uśmiecniętą koalicją” kryją się starzy liberałowie przekonani, że pracownicy to pasożytnicza naraść na zakładzie pracy? W tymczasowym zarządzie PKP Cargo, wysłanym do spółki w celu powywalania ludzi, jest dwóch ekonomistów i prawnik, bo po cholere w kierownictwie firmy kolejowej kolejarz. Po. prezesa zarządu o miniaturowym nazwisku Wojewódka skarżył się niedawno w „Rynku Kolejowym”, że w firmie były niepotrzebne podwyżki i jest za duże uzwiązkowienie. Warto też odnotować, że trzy tygodnie temu, wiedząc już, w jak fatalnym stanie jest PKP Cargo, rząd przyznał licencję na przewozy towarowe w Polsce i całej UE spółce Ukrainian Railways Cargo Poland należącej do ukraińskich kolei Ukrzaliznyca.

AWL

Z URNY URBANA

Piłka pokona rozum



Trudno czasem pogodzić dwie okazje. Bo to i rozpoczęcie Igrzysk Olimpijskich w Paryżu (w piątek 26 lipca), i 80. rocznica powstania warszawskiego (w czwartek 1 sierpnia). Przypomnijmy zatem felieton Urbana z lipca 2012 r., kiedy to rozpoczynały się Igrzyska Olimpijskie w Londynie, w kontekście wciąż powracających rojeń o ewentualności takiej imprezy w Warszawie. I dzięki temu mamy też akcent powstańczy.

Oglądając część artystyczną otwarcia olimpiady w Londynie, nabrałem przekonania, że ewentualna olimpiada w Warszawie byłaby dla nas czymś bardziej rujnującym niż wojna nuklearna. W części rozrywkowej kopiowalibyśmy wzory brytyjskie z polskimi przydatkami patriotycznymi. Jak wiadomo, na stadion owsiakożerców zrzucano z helikoptera na spadochronie imitację królowej. U nas spadłby prawdziwy Komorowski raczej bez spadochronu albo wybuchiłby Tu-154, rozsypując ludzkie szczątki po trybunach. U Angolii błazen grał w orkiestrze symfonicznej. U nas Penderecki, dyrygując, sam fikałby koziołki. W Londynie rakowe dzieci radośnie tańczyły na szpitalnych łóżkach. U nas dzieci – powstańcy warszawscy – strzelaliby z visów, zwyciężając Niemców, komunistów i pedofilów. Krew zalewałaby całą publiczność, a powstańcy wesoło machaliby urwanymi im nóżkami i rączkami. U nich taniec kapitalistów, którzy jako kłaniający się urządzeniom technicznym balet wyczarowują kminy fabryczne. U nas pokaz tortur akowców. Co akowcowi wyrwie się paznokieć, to komunistom rosną od tego kminy (krzywe oczywiście) i wał się w magicznych miesiącach czerwiec, październik, grudzień, lipiec.

Polskie widowisko zaczęłoby się spokojnie. Brzask nad pra-Polską. Pasą się dinozaury. W Inianej sukience siedzi Piast Kołodziej i wymyśla koło. Wyrasta w nim gniazdo, w którym osiada gęś w koronie grająca orla białego. Ojciec Rydzyk tryskając z niego święconą wodą termiczną chrzci gęś. Wjeżdża marszałek na kasztance i na czele powstańców warszawskich przegania bolszewików. Balet pułkowników tańczy na puentach apoteozę końskiej kupy. Mecz bokserski: Adolf Hitler przeciw Madonnie z Częstochowy. Matka Boska Częstochowska nokautuje Hitlera, potem Stalina, na koniec Wałęsę. Ikona owa wraz z Rydzykiem i Kaczyńskim staje na czele konduktu polskich sportowców. Idą oni, stepując „Bogu rodzicza dziewicza, bogem sławna maria”. Przy słowach „Siszczy nam, spuczi nam. Kyrieleyson” robią przysiad.

Po wydaniu na olimpiadę warszawską szkolnictwa, lecznictwa, pomocy społecznej – w tym zasiłków dla bezrobotnych – Polska zdobywa jeden medal: za okolicznościową czystość wychodków.

Rozliczenia typu patriotycznego zawsze są kanciarские. Na przykład ludzie, którzy kupili bilety na Madonnę, wpraw musieli

odbyć powstanie warszawskie. Liczyli w zamian na odszkodowanie, a nie dostali ani grosza. Dobrze chociaż, że „Bór” Komorowski nie wygrał powstania. Wówczas nie moglibyśmy się od niego odczepić przez każdy cały rok, nawet we śnie.

Na Ukrainie i w Polsce odbyły się w tym roku zawody piłkarskie. W ich trakcie Tuszkowi wzrosło poparcie, gdyż społeczeństwo czuło się zabawiane przez rząd. Czytam wszędzie, że jeśli w Londynie Polacy zdobyli więcej medali, niż powinni, Tuszkowi znów wzrośnie, a jak mniej, to spadnie.

Po co komu taka władza, która zależy od tego, czy pies w Pcimiu zaszczekał? Tenże pies jebał demokrację w Polsce zależną od bicepsów jakiegoś faceta z Samoa.

Cóż to za rząd, który ma specjalną minister od sportu i uchodzi to za ważny resort? I cóż to za pajdokratyczny premier, który bardziej przejmuję się tym, gdzie poleciała piłka, niż tym, gdzie zlatuje Europa?

Jeśli zadowolenie z rządu w jakimkolwiek stopniu zależy jest od sportu, to głosowanie staje się zbędne. Władzę można wybić, wykopać, wyskakać lub wyjeździć na koniu lub rowerze.

URBAN

TRYBUNA LUDZI



No i kto wygra:

Kamala

czy Trump?

Facebook

Paweł Strom: Trumpowi odwała, niech wygra Kamala.

Eugeniusz Rezmer: Myślę, że po dogrywce zwycięzcę wyłonią rzuty karne.

Semen Korczaszko: Obojętnie. Duda i tak pogratuluje udanej kampanii.

Maciej Dadej: Dolar.

Płocka Liga: Trudno stwierdzić, Trump bywa czasem trochę postrzelony.

Łukasz Jakóbek: Radomskie, ale jak pan chce to Joe ma Kamale...

Robert Rybicki: Musi być jakaś trzecia droga.

Magdalena Jankowska: Amerykanie zasłużyli na Trumpa. Reszta świata nie.

Ryszard LwieSerce: Kasyno.

Maciej Dadej: Czarnecki, jak tylko zrobią autostradę przez Atlantyk, bo inaczej nie dojedzie.

Anna Maria Pantera: Kamala poleci „friend in dick” i Trump umrze ze śmiechu.

Maciej Dadej: Secret Service.

Kuba Grzyb: Wygra ta osoba, której nie uda się odstrzelić gnatem kupionym na dowód osobisty.

Maciej Dadej: Producenci plastrów już wygrali.

Forum

Toomeq: Wygra jak zwykle PSL.

PRASA ŚNIADANIOWA

● 7 czerwca w Warszawie odbędą się **rekolekcje „Jezus na stadionie Legii”**. Ciekawe czy Jezus powie coś o Arce Gdynia?

● **Daniel Obajtek** powiedział, że obecne zarządzanie Orlenem to dno i wodorosty. To jest właśnie kęsalting.

● **Robert Bąkiewicz** oskarżył Muzeum Narodowe o usunięcie Matki Bożej z obrazu Bitwa pod Grunwaldem. Nie szkodzi, Pan Robert z kolegami wpadnie 11 listopada i domaluje.

● **Lech Wałęsa** przypomniał, że to on namówił Donalda Trumpa do rozpoczęcia kariery politycznej. „Nie chcesz, ale musisz” – powiedział Lechu.

● Naukowcy wynaleźli lek, który o jedną czwartą wydłużył **życie zwierząt laboratoryjnych**. Tym samym dyskusja, czy te zwierzęta zdechną czy umrą, chwilowo jest bezcelowa.

● Pałac Prezydencki poinformował, że w upały nawet **pałacowe lwy** potrzebują napić się wody. Tak, te kamienne.

MARTA M.

CHAŁUPY WELCOME TO!



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WINTER

80. rocznica wybuchu powstania warszawskiego

Z powodu braku patriotycznych konsumentów, po 10 latach powstanie warszawskie można świętować taniej.

„Pamięć o powstaniu warszawskim buduje państwo polskie” – mówił dwa lata temu Andrzej Duda. Problem jednak w tym, że buduje coraz słabiej, bo popyt na powstanie wyraźnie spada. Przychody z powstańczego VAT-u również.

W 2014 r. przeciętne miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw bez wypłaty nagród z zysku wyniosło 3978,71 zł. Teraz jest to 8167,77 zł – ponad dwa razy więcej. Wyrażony w złotychkach patriotyzm powinien być zatem co najmniej dwakroć droższy niż dekadę temu. A nie jest...

Każdy nazioł chce być ranny

Gdy obchodzono 70. rocznicę wybuchu powstania, absolutnym hitem było kuriozum o nazwie „T-shirt z zaschniętą krwią i raną od kuli – dostępny w rozmiarach S-XL, wariant z białą-czerwoną opaską lub bez”. Dla podbicia sprzedaży reklama twierdziła, że to edycja limitowana, a na dodatek w cenie ledwie 79 zł. No i przesyłka gratis!

Po 10 latach wersja krwawego podkoszulka jest lajtowa. Zamiast dziury, opaski i krwi, mamy grafikę powstańczą z napisem „Wasza krew za naszą wolność”, no i cenę niższą, bo tylko 55 zł.

Koszulkę „Chwała bohaterom” – rozmiary S-XXXL – w 2014 r. można było kupić za 35 zł, plus dycha za przesyłkę listem poleconym. Teraz podkoszułek ma napis „Cześć i chwała bohaterom” kosztuje 69,99 zł, zaś przesyłka jest od 13 zł.

Dziesięć lat temu do kupienia za 135 zł była „Niepowtarzalna bluza z nieodłącznymi emblematami powstańczymi, 70 proc. bawełna ring-spun, 30 proc. poliestr, kaptur, 3 kolory, rozmiar S-XXL”. Dziś jest – już nie niepowtarzalna – „Męska Bluza z Nadrukiem Powstanie Warszawskie”, ale za to o całe 6 zł tańsza.

Dla patrioty modnisia jest „Jedwabna apaszka w grochy „Powstanie Warszawskie”. Sprzedający reklamują ją tak: „granatowy materiał w białe grochy, z którego żołnierze uszyli chusty dla całego Zgrupowania, według relacji pochodził z magazynów wojskowych na Woli. W Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się oryginalna chusta z 1944 roku. W filmie „Powstanie Warszawskie” podobną nosi Stanisław Firchał ps. Wicher”. 10 lat temu chustka była za 28 zł. I do dziś jest w sprzedaży, ale teraz muzeum winiszuje sobie za nią 39,99 zł.

Z myślą o prawdziwej patriotce feministce, 10 lat temu wyprodukowano „Torbę bawełnianą „Dziewczyny z powstania”. Wedle reklamy była ona inspirowana książką Anny Herbach. „Wygląd torby odwołuje się do toreb sanitarnych, jakimi posługiwano się podczas 63 dni heroicznej bitwy. Idealny gadżet dla fanów historii! Przecena!” Już wtedy cena miała spaść z 29,99 zł do 19,43 zł. Minęła dekada i torba staniała jeszcze bardziej – teraz jest po 17,35 zł.

„Helm powstańczy: poza niewątpliwym powiązaniem z wydarzeniami historycznymi może także pełnić funkcję atrakcyjnej zabawki, pamiątki lub prezentu. Oferowany hełm powstańczy jest produktem unikalnym na polskim rynku, wykonany z wysokogatunkowego tworzywa, z zachowaniem rygorystycznej kontroli jakości, rozmiar został tak dobrany, aby pasował na głowę dzieci w wieku powyżej 6 lat” – widniało na informacji o produkcie w czasie, gdy obchodzono 70 lat od wybuchu powstania. Winszowano sobie zaś 8 euro. Teraz takiego hełmu już nie ma. Jest za to „MH109 Helm powstańczy M16 Powstanie Warszawskie” za 219 zł, i też w kilku wersjach gabarytowych.

Na tygrysy mamy zawieszki

Przed dekadą broszka „Powstanie Warszawskie”, wycięta z czerwonego plastiku, grubość 3 mm, wymiar 2,9x4 cm, miała cenę 39 zł. Dziś zamiast plastikowego badziewia jest pełny wypas – „Złota ZAWIESZKA pr. 585 Powstanie Warszawskie” z ceną 549,99 zł. Waży to 1.34 g i nie jest szczególnie duże, bo ma raptem 14.00x23.80 mm.

Dla ubogich patriotów też jednak coś jest. „Przypinka flaga prosta Powstanie Warszawskie”, za 9 zł. Oba produkty wskazują, że ich

producenci nie mają pojęcia, co zrobili. Tak na złotej zawieszce, jak i na przypince jest bowiem kotwica. Czyli zespolone litery PW, które wcale nie są skrótem powstania warszawskiego, a Polski Walczącej.

Nie ma dziś niegdyś występującej w sprzedaży za 10 zł plus 13 zł za przesyłkę naszywkę „Polska Walcząca” – przy której sprzedający dodali deskrypcję, że „na wypadek, gdybyś nie umiał czytać, emblemat posiada rzep”. Nie ma też „naszywek z odznakami zgrupowań powstańczych, każda po 5 zł”. Jest za to naszywka „Baon Zośka Powstanie Warszawskie Polska Naszywka”, o wymiarach 9x8 cm, za 20,99 zł, której „najwyższej jakości nici gwarantują trwałe kolory, które utrzymują się po wielu praniach”.

Patriotyzm potaniał

Nie ma też „breloka do kluczy Polska Walcząca” za 6 zł. Jest „brelok ze zdjęciem Powstanie Polska Walcząca 1944” za 54,99. No i są „Spinki do Manieków Powstanie Polska Walcząca”, kosztujące 49,99 zł.

Niegdyś w internecie była dostępna za 69 zł „Flaga Polski Walczącej – 90x150 cm”. Taka, której „barwy nie blakną, nie farbują, odporna na promieniowanie UV”. Po 10 latach i wielkiej inflacji „Flaga Powstanie Warszawskie Polska Walcząca” o wymiarach 112x70 cm z drzewcem jest do kupienia za jedynie 31 zł.

Pręż swą młodą dziarę

Nikt już nie ogłasza, jak przed dekadą, że „Tatuaż powstańczy gratis – przy zakupie 3 produktów z naszej gazetki”. Ale dowolny tatuaż z powstańczą symboliką robią wszystkie salony w cenach zaledwie o 60 proc. wyższych niż dekadę temu.

Będąca kiedyś w sprzedaży za 24 zł „Powstańcza podkładka pod mysz – 19x25 cm, pokaż wszystkim, że pamiętasz o warszawskich bohaterach!” dziś nie występuje. I wcale nie dlatego, że już nie sprzedaje się podkładek z innymi obrazkami, bo się sprzedaje, i to za ponad 30 zł. Ale widać w korporacjach prawdziwi patrioci nie pracują.

Ołówek z logiem Muzeum Powstania Warszawskiego i napisem „70 Rocznicą Powstania Warszawskiego”, gdy był aktualny, kosztował 3 zł. Teraz wciąż jest do kupienia, ale pewnie z powodu przedterminowania jego cena spadła do 1 zł.

„Unikatowa, drewniana, ręcznie zdobiona zakładka do książki z motywem Małego Powstańca i hasłem »Bóg, Honor, Ojczyzna«. Z drugiej strony znajduje się flaga Polski z powstańczą kotwicą. Wymiary zakładki 15x5cm. Grubość: 3 mm”. 10 lat temu była za 8,40 zł. Teraz wciąż w sprzedaży, ale już za 15 zł.

Nieosiągalny jest zaś „Magnes na lodówkę z fotografiami Powstańców Warszawy w kolorze, 3 wzory” za 4 zł. Ale innych powstańczych magnesów dostatek. I to już od 2,50 zł za sztukę. Jeśli jednak komuś marzy się ozdobienie lodówki konieczne powstańczym zdjęciem, to tylko taki magnesik za 15,99 zł.

Dekadę temu w internecie była do kupienia za 34,93 zł „Szkatułka z Kotwicą Polski Walczącej – może stać na biurku, w salonie lub sypialni. Nadaje się na biżuterię, drobiazgi lub... herbatę. Pudełko zostało wykonane z drewna sosnowego i posiada następujące wymiary: 15x9,5x8 cm”. Dziś, ten sam towar nosi nazwę „Kuferek szkatułka – Kotwica Polska Walcząca – Powstanie Warszawskie” i ma dokładnie ten sam opis. Zaś jego cena urosła do 59,90 zł.

Kubek Powstanie Warszawskie za 12 zł już nie występuje. Teraz mamy „Kubek Polska Walcząca PW Opaska Powstanie”. Cena: tylko 15,40 zł za sztukę.

Kleją ją chłopcy z aplikatora

10 lat temu sprzedawała się za 179 zł „Moneta kolekcjonerska Patriotci 1944 »Obywatele 2014« wybita przez Mennicę Polską, nominał: 20 zł. Heroizm tych, którzy 1 sierpnia 1944 r. stanęli do walki o wolną i niepodległą Polskę, jest przykładem patriotyzmu najwyższej próby”. Ale *to se ne wrati*. Dziś jest kolekcjonerska „Moneta 10 zł Powstanie

Warszawskie” za 80 zł. No i okolicznościowy banknot 20-złotowy „80. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego 2024”, za który „COINS jako Dystrybutor współpracujący z NBP posiadający podpisaną umowę ramową sprzedaży wartości kolekcjonerskich emitowanych przez Narodowy Bank Polski”, winiszuje sobie 219 zł.

Kosztujący kiedyś 32,99 zł „Model do sklepania – samochód pancerny »Kubuś« z Powstania Warszawskiego, plastik”, produkuje się do dziś. Ale cena wzrosła ponad dwukrotnie. Za Kubusia trzeba bowiem zapłacić 77,27 zł.

Dekadę temu ktoś, kto chciał wychowywać tak patriotycznie, jak i militarystycznie dzieci, mógł kupić za 53,99 zł Cobi „Mała Armia” – „specyficzną i unikalną kolekcję klocków. Jej stylistyka oparta jest na tematyce wojennej. Zestaw Powstanie Warszawskie zawiera 200 klocków, z których zbudujesz barykadę, 2 ludzi; żołnierzy obsługi, broń i amunicję m.in.: karabin maszynowy, pistolety. Od 5. roku życia”. Dzieci chyba nieszczególnie chciały się w to bawić, dlatego dziś ten sam zestaw kupić można za 33,48 zł.

„Listownik Małego Powstańca przeznaczony na różne dokumenty np. listy, notatki, rachunki, przepisy” 10 lat temu kosztował 59,90 zł. Dziś, poza ceną wynoszącą 69,90 zł nic się nie zmieniło.

Tak jak w przypadku gry planszowej „Mali Powstańcy”, w której „gracze wcielają się w role zastępowych drużyn harcerek pocztę polową. Zadanie polega na dostarczaniu jak największej liczby najważniejszych rozkazów. Od 8. roku życia. W zestawie z dodatkiem »Liberator«”. Wówczas winszowano sobie za taki zestaw 94,99 zł i – jakkolwiek by to dziwnie nie wyglądało – dziś kupi się go za tę samą cenę.

W czasie obchodów 70. rocznicy godziny „W” powstańcze naklejki na samochód chodziły po 8 zł. Dzisiaj „Naklejka na samochód auto 1944 Powstanie 15x14” jest za 9,90 zł. A „Naklejka na auto patriotyczna Mały Powstaniec” za 10,99 zł.

Czuwaj wiara, idzie wyprz

Natomiast „Puzzle Powstanie Warszawskie” kończą jak ono samo. Dekadę temu miały 60 elementów i kosztowały 99 zł. Dzisiaj mają 72 fragmenty i kupi się je już za 12 zł.

Przed 10 laty do historii powstania miały przyciągać również gry komputerowe. Strzelanka „Uprising 44 – The Silent Shadows” przeznaczona dla patriotów liczących sobie więcej niż 16 wiosen,



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

zawijana była tak: „W trakcie zabawy śledzimy losy Cichociemnych, spadochroniarzy będących prekursorami współczesnych członków jednostek specjalnych, zrzuconych w miejscach zajmowanych przez okupanta. Teatrem prowadzonych działań jest leżąca w gruzach Warszawa”. Wtedy gra kosztowała 46,68 zł i wywoływała takie oto komentarze: „Chujnia nie z tej ziemi... Można godzinami wymieniać błędy. Nie wiedziałem, że w czasie II Wojny Światowej Polacy tak zapierdalali płynnie po angielsku, w dodatku połowa to brzucho mówcy. A teraz parę faktów, o których dowiedziałem się, grając w ten chłam: 1) Polacy nie mają barków. 2) Polacy mają łapy jak King Kong. 3) Niemcy lubią non-stop strzelać w sufit i ściany. 4) Niemcy nie mają kregostupa. 5) Polscy (może angielscy?) snajperzy zawsze mają bandanę na ryju. 6) Polskie kobiety są bardzo brzydkie”.

Nie ma się więc co dziwić, że dziś za kod aktywacyjny do tej gry trzeba zapłacić ledwie 8,61 zł.

Przed 10 laty nie trafiało się na ewidentne czyszczenie magazynów z patriotycznych gadżetów. Teraz zaś ktoś niemal hurtem chce się pozbyć takich pozycji jak „Flaga zwijana w formie opaski odbłaskowej na ramię w barwach narodowych”, „Polska Walcząca Kotwica samoprzylepna filcowa gruba 3D”, „Pamiętamy 1944 – smycz na szyję”. Wszystkie gadżety nowe. Cena 9,99 zł za sztukę.

Jak kurier dowiezie paczkę z taką emanacją miłości do ojczyzny, to patriotę czeka przeczytanie ze zrozumieniem instrukcji aplikacji – naklejki znaczy. „Czyścimy wybrane miejsce, zalecane również odtłuszczenie. Odklejamy naklejkę. Rozpylamy wodę w miejscu aplikacji. Układamy naklejkę i dociskamy. Czekamy ok. 10 minut. Ściągamy folię transferową”. I – niczym prezydent Duda – popadamy w patriotyczny samozachwyt.

TOMASZ BOROWIECKI

MÓZDZEK TYGODNIA

W czerwcu rzeczniczka Konfederacji Ewa Zajączkowska-Hernik za sprawą ponad stu tysięcy wyborców została eurodeputowaną Konfederacji, a właściwie partii Nowa Nadzieja. Gdy już Hernik znalazła się w Brukseli, postanowiła zapisać w pamięć innych eurodeputowanych, no bo zmusie Maltańczyka czy Hiszpana nie tylko do zapamiętania, ale choćby do wymówienia nazwiska „Zajączkowska”... Nie jest najwyższą posłanką w parlamencie europejskim, nie ma najładniejszego w europarlamencie biustu ani najzgrabniejszych nóg (w ogóle powierzchowność ma raczej taką jak poglądy – kołtuńsko-narodową), nie mówi największą liczbą języków obcych, nie ma najwięcej tatuażów, nie zna się najlepiej ani na astronomii, ani na fizyce kwantowej. A tu trzeba było pilnie coś wymyślić...

Zajączkowska-Hernik wymyśliła, że nakrzyczy na przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen. „Wybrańne pani na stanowisko przewodniczącej KE w poprzedniej kadencji było ogromnym błędem i niektórzy do dzisiaj mają

kaca po tej decyzji” – rozpędzała się eurodeputowana z Wielkiej Katolickiej Polski, by przejść do ataku bardziej zdecydowanego: von der Leyen „odpowiada za każdy gwałt i napaść spowodowaną napływem nielegalnych imigrantów”, za co powinna „trafić do więzienia”. Na koniec Zajączkowska-Hernik podarła kartki z nazwami Europejskiego Zielonego Ładu i Europejskiego Paktu Migracyjnego. „Rece precz od Polski!” – zakończyła na stu dziesięciu decyzjach.

Eurodeputowana Ewa Zajączkowska-Hernik nie podniosła prawej ręki w tradycyjnym rzymskim salucie – jak mają w zwyczaju jej polityczni koalicjanci z Alternative für Deutschland. Oni i ona zapisali się do jednej frakcji w europarlamencie, Europy Suwerennych Narodów, w nadziei, że „jutro należy do nich” – jak w pieśni śpiewanej przez blondwłosego cherubina w brunatnym mundurze w „Kabarecie” Boba Fosse’a.



Ilustr. PAMEL FERENC

Jurku, nie upieraj się

Internetu trzęsą się skutkiem wypowiedzi prof. Jerzego Bralczyka na temat używania czasownika „umrzeć” w stosunku do zwierząt. Bralczyk mówił, że jest człowiekiem dość już starym, a przeto zwrot „pies umarł” mu jakoś nie brzmi. Dla niego nadal pies „zdycha”. Przy okazji wspomniął również, że nie podoba mu się „adoptowanie” w odniesieniu do zwierzęcia.

Jestem wielkim fanem, a prywatnie nawet kolegą prof. Bralczyka (wiele mu zawdzięczającym) i ani myślę się nad nim pastwić. No, może poza małym przypomnieniem, że podobnie jak ja, za jakiś czas, za jedno мгновение kaprawego oka dziejów, wyda dech swój ostatni, czyli – etymologicznie rzecz biorąc – zdechnie. W tym

jesteśmy nie lepsi od psów. Jeśli one zdychają, to i my zdychamy razem z nimi. Potwierdzam więc: i Bralczyk zdechnie, i Hartman zdechnie.

A jednak nie mówi się w ten sposób o ludziach. Chyba że w nienawistnym „zdechniesz jak pies”. Ale czemu tak? Niestety, powód jest jeden i tylko jeden, a jest nim ogólna, by tak rzec: bazowa pogarda dla psów i zwierząt w ogólności. Pogarda trochę chłopiska, trochę chrześcijańska, a przede wszystkim prostacka i paskudna. Nie ma co, Jurku, upierać się przy tym starym, bo to stare w tym przypadku akurat nie jest dobre.

Doskonale pamiętam czasy, gdy nie mówiło się, że zwierzę „umarło”, a pozwalały sobie na taki ekstrawagancki sposób wyrażania się co najwyżej wrażliwe starsze panie z miasta, należące do zamożniejszych warstw społeczeństwa, czyli – wedle patriarchalnej normy – wstrętne, wyfiokowane i bezbożne w sercu swym lampucery. Tylko że historia moralności i obyczajów przyniosła im rację i teraz nie dość, że one same – ze starych, Boga w sercu niemających zepsutych babsztyli, co to nadstawiają łapę tłustą przerażającym naszym ustom – przeistoczyły się w wyemancypowane i dzielne starsze kobiety, z których nikt nie śmie kpić, to w dodatku dzisiaj niemal wszyscy mówią o swoich zwierzętach, że „umarły”. Jeśli zaś kto powie, że pies mu „zdechł”, to czy się mu to podoba, czy nie, jego wypowiedź zostanie odczytana jak deklaracja ideologiczna. Zostanie mianowicie uznany za konserwatystę, który w egzaltowany sposób manifestuje swoje brzydzienia nową moralnością niemalże zrównującą zwierzęta z ludźmi. Bralczyka też to dotyczy. Jeśli powie, że „zdechł” mu kot, to nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że on tak mówi z natury, czyli spontanicznie (bo zawsze tak mówił i kiedyś wszyscy tak mówili), lecz od razu będzie wiedział, że czyni to z całą premedytacją i w pełni świadomie. Zresztą sam dał tego dowód swoim wywodem podczas wywiadu z polskimi dziennikarzami.

A swoją drogą, powiem Wam, że nieco zasmucił mnie ten wywiad. Dziennikarzy było wielu, ale wszyscy jakoś niedoważeni i niedopieczeni. W przykry sposób sprawiali wrażenie infantylnych i niedouczonego, a za to

podstarzałych żółtodziobów, podczas gdy biedny Bralczyk, choć dwoił się i troił, żeby w tym całym dziecińcu być miłym i przystępnym, to nadal tkwił samotny po drugiej, lepszej stronie intelektualnej przepaści. Cóż, taki sobie, mądrała, zgotował los. Trzeba było tyle nie myśleć.

Ale wracając do naszego admeritum. Otóż zdarza się, że uzus językowy zmienia się szybko i poniekąd sztucznie, jak gdyby skutkiem nowej umowy społecznej. Jeśli dzieje się to odgórnie, z mocy instytucji i polityków, budzi to w nas pewien zrozumiały, antysystemowy opór. Jednakże po pewnym czasie opór ten ustaje. Tak było ze słowem „niepełnosprawny”, niepotrzebnie zastępującym znaczącego to samo, lecz obco, by nie powiedzieć, że po napoleońsku brzmiącego „inwalidę”. Narzucono nam też zmianę jakoś trzy dekady temu, a my się z tym, nie bez kręcenia nosami, po kilku latach pogodziliśmy. Jednak wyeliminowania słowa „zdechnąć” nikt nam nie narząca! Sami to zrobiliśmy, bo doszliśmy do wniosku, że kochamy i szanujemy nasze zwierzęta, choć nie umieją mówić, a swego żalu po ich śmierci nie musimy się wstydić. A jako że przeciwko tej zmianie, a także nadawaniu zwierzętom ludzkich imion, protestował Kościół katolicki, więc bardziej warto docenić społeczeństwo, które chociaż raz swoje odczucia postawiło wyżej od średniowiecznych doktryn Kościoła. Ten bowiem opowiada jakiegoś banialuki o duszach nieśmiertelnych, które jakoby mieli ludzie, a nie psy, przez co „był ludzki” stoi nieporównanie wyżej na „drabinie stworzenia” niż „był zwierzęcy”. Otóż katolickie doktryny na temat zwierząt, wywodzące się zresztą z jakichś starożytnych semickich przesądów, są zwyczajnie głupie, a za to doskonale nadają się do usprawiedliwiania popełnianych na zwierzętach okrucieństw. To pięknie, że społeczeństwo samo postanowiło pokazać katolickim doktrynom granicę: do naszych emocji po śmierci naszych zwierząt domowych proszę się nam nie wtrącać!

To samo dotyczy „adopcji”. Czyżby schroniska dla zwierząt miały ustalać zasady „przygarniania psów”, bo „adopcja” odnosi się do ludzi i nie wolno zacierać zasadniczej różnicy, jaka tu zachodzi? Otóż „zasady przygarniania” brzmią fatalnie, a „zasady adopcji” doskonale. Najważniejsze jest jednak coś innego, a mianowicie, że owszem i „dokładnie” tak się rzeczy mają w ewolucji naszej moralności: że włączamy zwierzęta do naszej przestrzeni moralnej, mimo że one nie mogą się nam odwzajemnić świadomym podejmowaniem odpowiedzialności i obowiązków moralnych wobec nas. Ale właśnie ten brak symetrii nadaje naszemu hojnemu gestowi szczególne moralne piękno. Osoba trwale nieprzytomna również traktowana jest przez nas z troską, choć czuje i rozumie mniej niż pies, bo po prostu nie czuje i nie rozumie nic. Ale za to jest jednym lub jedną z nas, kimś, kogo uważamy za istotę ważną. Ważną, czyli mającą wagę i domagającą się przyznania, że wagę posiada. A to przyznanie polega na uwadze, uważności i poważaniu.

Tak, tak, wcale nie lekceważymy człowieka przez to, że zmniejszamy dystans między człowiekiem i zwierzęciem. Wręcz przeciwnie! Kto szanuje zwierzęta, również do ludzi odnosi się lepiej. Może więc przyszedł już czas na to, aby zdjąć ze słowa „zdychać” to obrzydliwe odium pogardy? Jeśli tak, to umówmy się, że nie tylko Azor z Burkiem „umrą”, ale i Bralczyk z Hartmanem „zdechną”. I na odwrót.

JAN HARTMAN

Dwugłos o zdychaniu

Padł pod ciosami opinii publicznej, a ściślej socialmediowego komentarz. Padł, bo ośmielił się wyznać, że zwierzę „zdycha”, a nie „umiera”. Tęgo zwierzomilności wybaczyć mu nie mogli.

Program „Sto pytań do...” w TVP Info w sobotni wieczór 13 lipca przeszedłby zapewne bez echa jak inne z tego cyklu (choćby o tydzień wcześniej, którego gościem był Leszek Balcerowicz i gdzie naprawdę byłoby się do czego przywalić), gdyby znany językoznawca prof. Jerzy Bralczyk nie powiedział nieopatrznie kilku słów, odpowiadając zresztą na pytania zgromadzonych w studio dziennikarzy. Na pytanie Justyny Dżbik-Kługe z Programu IV Polskiego Radia o stosunek do modnych ostatnio określeń „osoby ludzkie” i „osoby nieludzkie” (zwierzęta) prof.

Bralczyk odpowiedział: „Nie, nie pasuje mi. Tak samo, jak nie pasuje mi na przykład »adoptowanie« zwierząt. Jednak co ludzkie, to ludzkie... Mówienie, że choćby najulubieńszy pies »umarł«, będzie dla mnie obce. Nie, pies, niestety, »zdechł«”. Zaznaczył przy tym, że bardzo lubi zwierzęta, ale jest starym człowiekiem i preferuje tradycyjny sposób wyrażania się o nich.

Przez kilka dni rozpalano grilla, na którym miał zostać upieczony profesor. A potem już pojechało! Tylko nieliczni powściągliwi proponowali, że skoro już nie można powiedzieć, że zwierzę „umarło”, to niech chociaż będzie tak, jak chce prof. Mirosław Bańko, który w internetowym Słowniku Języka Polskiego postuluje, że zwierzę „padło”. Co bardziej krewcy socialmediowi „miłośnicy zwierząt” użyli wobec Jerzego Bralczyka chyba wszystkich możliwych inwektyw, od których nawet nam wędna uszy. „Dziaders” był wśród nich najłagodniejszym określeniem, które w tych okolicznościach należałoby uznać wręcz za komplement. W każdym razie hejt lał się gęsto. Niektórzy z hejterów posunęli się nawet do tego, że życzyli profesorowi opuszczenia tego łez padofu w sposób, jaki ten rezerwuje dla zwierząt – nie wszyscy jednak domagali się tego natychmiast, niektórzy w swej łaskawości dopuszczali odsunięcie tego faktu w czasie. Tak jak jedna z użytkowniczek platformy X: „Zdechną kiedyś wszyscy ci, którym ego nie pozwala śmierci zwierza nazwać umieraniem”. Hej, zwierzomilnicy, a co z waszymi ego?

W tej nagonce na prof. Bralczyka istotne jest nie to, co ów powiedział, wyrażając zresztą swoje prywatne zdanie, lecz co to powoduje w ludziach. Wydaje się, że cały internetowy komentarz istnieje dziś tylko po to, by dzień w dzień czekać na takie wypowiedzi znanych osób. A kiedy padnie słowo, które uderzy w ich czuły punkt, uruchamia się cały mechanizm: od niekończących się dyskusji o tym, czyja racja jest „mojsza”, przez grillowanie nieszczę-



Bralczyk padł

śnika za pomocą obrzucania go inwektywami i zarzucania mu wszelkich niegodziwości, aż po życzenie mu śmierci, najlepiej w meczarniach. Ten spektakl nienawiści uruchomiony został w bańce, powiedzmy, postępowo-lewicowo-aktywistycznej. Czyli przez ludzi, którzy na co dzień aż puchną od wzniosłych idei: wzajemnego szacunku, poszanowania dla odmienności cudzych poglądów, równości, wolności przekonań i słowa...

Jako że ponad dekada mojego życia upłynęła w bardzo ścisłym związku z wyżej wymienioną bańką, przeto śmiem twierdzić, że znaczna jej część głosi swoje idee tylko na pokaz. A im dłużej żyję, tym bardziej się o tym przekonuję.

Jeżeli bowiem ludzie głoszący na co dzień miłość do zwierząt są w stanie niemal żywcem zeżreć człowieka za kilka słów, no to coś tu jest nie tak. Niepokoi to tym bardziej, że przecież człowiek ten mówił wyłącznie o swoim stosunku do omawianego zjawiska językowego, a nie o żadnych obowiązujących normach.

To cecha charakterystyczna tego typu sporów: nienawistnicy i krytykanci zawsze uważają, że ich opinia jest obowiązująca. W rzeczony bańce nie jest inaczej. Chcesz być postępowy, uważany bardziej za lewicowego niż prawicowego, jesteś aktywistą obywatelskim,

mniejszościowym, kobiecym i co tam jeszcze? Są rzeczy, których ci nie wolno i takie, które musisz. Nie możesz mówić Cygan i Murzyn, tylko Rom i... no właśnie, co? Bo jak powiesz „czarny”, to też możesz się narazić (nieee, nie czarnym, tylko całkiem białym i to w niektórych przypadkach takim, którzy czarnych widzieli tylko w MTV na raperskich teledyskach z Ameryki). Nie możesz nie kochać zwierząt, musisz być ich bezwarunkowym miłośnikiem. Do tego stopnia, że musisz zaprzestać ich jedzenia.

W efekcie musisz jeść nie jedzenie, tylko to, czym się karmi jedzenie, jednak nie wolno ci kwestionować słuszności tej linii, która jest słuszną, gdyż jest.

Nie wolno ci kwestionować „zdobyczy feminizmu”, czymkolwiek one są i masz używać feminatywów za wszelką cenę, nawet gdyby brzmiały najidiotyczniej na świecie lub były zbędne. Musisz być eko... itd. Nie wolno inaczej! „Musisz, masz, nie możesz, nie wolno ci” – to tak naprawę wszystko, co ci ludzie mają do zaoferowania światu. Czyli swojego zdania mieć nie możesz, bo w imię wolności, równości i braterstwa „masz myśleć to samo, co my”. A jak zrobisz odstępstwo, to zgrillujemy cię niczym Bralczyka.

Żeby było ciekawiej, taka myślowa urawniłowka dzieje się w środowiskach, które za jedno z podstawowych hasel, jakie głoszą, mają odmienność i szacunek dla odmienności. No więc możesz być odmienny, pod warunkiem, że myślisz tak samo i robisz to samo.

Jestem głęboko przekonana, że podobne awantury nie są tak naprawdę sporami o język. Są emanacją ludzkiej frustracji, która siedzi w każdym z nas. W podobnych okolicznościach ludzie bezrefleksyjnie i – mam wrażenie – całkiem bezwiednie znajdują upust dla swoich zakiszonych emocji pochodzących niekiedy z całkiem innych czasów i okoliczności. Takie okazje powodują, że rodzi się wkurw, który można z siebie wywalić. Ze kosztem innego człowieka, to już mniejsza o to. Co kazałoby zastanowić się nad sensem mediów społecznościowych w ogóle – ale to już zupełnie inna rozmowa.

Także ja, pisząc teraz o tej sytuacji, też przecież daję upust swoim emocjonalnym frustracjom, co do których jestem przekonana, że nie dotyczą ani prof. Bralczyka, ani zagadnień językowych, lecz biorą się z zupełnie innych czasów i okoliczności. Różnimy się być może tylko tym, że ja o tym wiem.

EDYTA BAKER

JA UMREĘ,
TY ZDECHNIESZ!



Jak gnije Polska 2050

Afery, nieudolność, spory.

Czym się różni polityk od owocu? Owoc spada, gdy już dojrzeje, a polityk dojrzeje, gdy spada. Tę mądrość ludową potwierdza Róża Thun, polityczka Polski 2050, którą ostatnio – gdy pożegnała się po kilkunastu latach z Parlamentem UE, nie uzyskując mandatu z okręgu łączącego Dolny Śląsk i Opolszczyznę – naszły poważne refleksje. Jak wiadomo od Barci, nie ma Róży bez ognia, toteż Thun pochyliła się nad związkiem z ludowcami. Nie przez przypadek, bo ludzie Kosiniaka-Kamysza wycieli ją z „biorącej” jedynki w okręgu łączącym małopolskie i świętokrzyskie. Europosełm został PSL-owiec Adam Jarubas.

„W wielu kwestiach mocno się rozjeżdżamy, a PSL zaciekle walczy o swoje interesy. Potrzebowaliśmy tego projektu przy wyborach, ale teraz powinniśmy się nad nim poważnie zastanowić” – stwierdziła 7 lipca Thun na portalu Wyborcza.pl. Podkreśliła też, że ludowcy bardzo dbają o swój interes, a tu trzeba zadbać o wspólny interes Trzeciej Drogi. Dodała, że obie formacje się w wielu sprawach różnią, ludzie marszałka Hołowni są bardziej nowocześni, a PSL – konserwatywny. Jednocześnie przyznała, że Polska 2050 potrzebuje w wyborach struktur ludowców.

Warto zatrzymać się nad ostatnim zdaniem. Bo przecież, jeśli projekt Hołowni jest czymkolwiek innym niż windą, która ma wynieść go na urząd prezydenta – a taki scenariusz jest obecnie równie prawdopodobny jak śnieg w lipcu w Warszawie – to musi stworzyć struktury.

Przyjrzyjmy się zatem dolnośląskiej Polsce 2050 – w końcu Wrocław to jedyne duże miasto w Polsce, gdzie kandydatka tego ugrupowania, Izabela Bodnar (zbieżność nazwisk z ministrem sprawiedliwości przypadkowa), weszła do drugiej tury wyborów prezydenckich. Przegrała z kretelem, ale ile dostała darmowej reklamy w postaci zainteresowania mediów, to jej. Choć, prawdę mówiąc, może by wołała, aby owej uwagi poświęcono jej mniej. Ale o tym nieco później.

Jebnąć legitymację

Pod koniec czerwca jeden z czołowych dolnośląskich polityków od Hołowni, Aleksander Twardowski, z przrętem rzucił legitymacją Polski 2050. Uzasadnił to dwояkoi.

Po pierwsze, wbrew liderowi ugrupowania, Polska 2050 zawarła w dolnośląskim sejmiku koalicję z Bezparyjnymi Samorządowcami, czyli grupką, która uprzednio rzuciła tam razem z PiS-em.

Po drugie, jego obrotna żona, Karolina Hołownia-Twardowska, miała wejść do zarządu woje-



wództwa, ale wysiudła ją Natalia Gołąb. Hołownia-Twardowska wstąpiła do klubu platformersów.

Radna Gołąb przez lata prowadziła agencję PR, która zajmowała się takimi obszarami, jak turystyka, eventy czy samorząd. Ale z czasem poczuła zew służby publicznej (taki niewinny żart, bo złośliwi mogliby powiedzieć, że zobaczyła, gdzie jest prawdziwa kasa). Za czasów poprzedniej władzy pracowała w pisowskim dolnośląskim urzędzie marszałkowskim, gdzie prowadziła nabory i oceniała wnioski o finansowanie z Europejskiego Funduszu Społecznego. Ale kobieta była nader otwarta – w 2019 r. zaczęła pracować w Urzędzie Miejskim we Wrocławiu (najpierw w Departamencie Zrównoważonego Rozwoju, potem w Biurze Rozwoju Gospodarczego).

Pracując już w zarządzie województwa dolnośląskiego, Gołąb promowała region wysyłając delegację samorządowców do Tokio na targi technologiczne (też bym pojechała do Japonii za publiczne pieniądze). Pod koniec czerwca br. weszła w skład Dolnośląskiej Rady Kobiet, ciała opiniującego-doradczego, które będzie funkcjonować przy samorządzie województwa. Jak wyjaśniała mediom: „Chcemy wspierać inicjatywy odnoszące się do walki z nierównościami, dyskryminacją czy przemocą wobec kobiet, a jednocześnie walczyć o wyrównywanie szans. Zależy nam także na komunikowaniu się z innymi podmiotami wspierającymi kobiety”.

Twardowski zwrócił uwagę, że marszałek Sejmu zapowiadał: „Nie przewidujemy żadnej formy koalicji z Bezparyjnymi Samorządowcami na Dolnym Śląsku”. A potem położył uszy po sobie, gdy stało się inaczej. Były polityk Polski 2050 wzywał wcześniej Hołownię, aby wyrzucił Gołąb i matkę chrzestną koalicji, posłankę Bodnar, z ugrupowania. Ale jakoś stało się inaczej i zapadła nad sprawą głucha cizsa.

Twardowski był jedną z twarzy Polski 2050 w regionie. Wcześniej zasłynął zbórkami publicznymi dla Schroniska dla Bezdomnych Mężczyzn i Fundacji „Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową”. Ale rozbił bank w 2022 r., gdy usłyszał o nim kraj, bo zainicjował – co mu się skądinąd chwali – ogólnopolską zrzutkę na telefon zaufania dla dzieci, któremu pisowcy obcieli środki na funkcjonowanie. Zbiórka przebiła wszystkie oczekiwania i o Twardowskim zrobiło się głośno.

Wróćmy jednak do posłanki Izy, która jawi się jako grubsza cwaniara. W końcu, jak mawiał Lenin, najważniejsze są kadry.

Uwikłana

Jak to często bywa w polskiej (i nie tylko polskiej) polityce, Izabela Bodnar to typowy transfer z biznesu. Pracowała w latach 2009–2016 na eksponowanych stanowiskach (manager ds. relacji z kluczowymi klientami, potem dyrektora departamentu) w polskim oddziale banku Credit Agricole. Później była dyrektorką w spółkach prawa handlowego. Jak

skromnie pisała o sobie: „Przez 20 lat swojej pracy zawodowej jako ekonomistka pracowałam na kluczowych stanowiskach w polskich i zagranicznych firmach, głównie w sektorze finansowym. Zajmowałam się kreowaniem strategii biznesowych, zarządzałam projektami, negocjowałam wielomilionowe kontrakty”.

Jesienią ub.r., na fali wznoszącej Trzeciej Drogi, Bodnar dostała się do Sejmu. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc kobieta rzuciła wyzwanie prezydentowi Wrocławia, Jackowi Sutrykowi. Poparli ją wszyscy, którzy mieli dość słabego władarza miasta. Bodnar jedynie o kilka punktów procentowych przegrała z Sutrykiem w pierwszej turze i ostrzyła sobie zęby na ostateczne zwycięstwo.

Nie poszło jej najlepiej. Pewien tiktokier nagrał wiralowy filmik (1,4 mln odsłon!), w którym przepyttywał kandydatów z wiedzy o mieście. Bodnar stała się pośmiewiskiem, nie знаła bowiem nawet herbu miasta. Okazało się też, że za jej mężem, Maciejem B., rzutkim biznesmenem, ciągnie się sprawa korupcyjna.

Maciej B. miał zwrócić się do Tomasza J., kojarzonego z PiS-em biznesmena, z prośbą o pomoc. Maciej B. wybrał marnie – Tomasza

J., który przytulił paręset tysięcy złotych za rzekomą interwencję na najwyższym szczeblu rządu, u ówczesnego ministra finansów Tadeusza Kościńskiego, pośrednictwo w dotarciu do spółek skarbu państwa i organów państwowych. Maciej B. miał poruszyć niebo i ziemię, aby skarbowka zakończyła w jego firmie kontrole dotyczącą wyprowadzania podatku VAT.

Jak ujawnił Onet: „Z Tomaszem J., który od 1,5 roku przebywa w areszcie pod zarzutem przyjmowania sięgających setek tysięcy łapówek, Macieja B. poznał Przemysław Zaleski, za czasów rządów PiS członek zarządów i rad nadzorczych wielu spółek Skarbu Państwa, m.in. z grupy Tauron czy należącej do Orlenu Elektrowni Ostrołęka. W przeszłości pracował on w jednej z firm męża dzisiejszej posłanki Polski 2050”.

Samą zainteresowaną wprost powiedziała, że wszystko to szykany i nagonka polityczna zio-brystów zwalczających demokratów. Podkreślała, iż wraz z mężem są „ofiarami mafijnego układu aparatu państwa, zorganizowanego przez PiS w Lubinie”.

Nie sposób zakończyć powyższej opowieści inaczej, aniżeli odniesieniem do pewnego rysunku z „NIE”, autorstwa nieżyjącego od lat Andrzeja Czeczota. Przypomnijmy, że dekady temu trzecią drogą nazywano dawnych socjaldemokratów, którzy nawrócili się na turbokapitalizm. Na obrazku zatytułowanym „Trzecia droga” był wóz drabiniasty z chłopem poganiającym konia batem i mówiącym, że owa trzecia droga jest „łyż chujowa, ale z górką”. Wchodząca w skład Trzeciej Drogi Polska 2050 też ma z górką – prosto w polityczny niebyt.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Proteza protezy

PSL jak PiS

Upały nie dają nam spokoju tego lata. Widać to szczególnie po politykach Polskiego Stronnictwa Ludowego. Tak ich pogrzało, że chyba już sami nie bardzo wiedzą, co robią. PSL, wslawione ostatnio sprzeciwem wobec rządowego projektu ustawy o związkach partnerskich, a także tym, że przyłożyło rękę do odrzucenia ustawy o depenalizacji aborcji, bierze się za urządzanie życia osobom LGBT. Na swój sposób. Poinformował o tym nieocenyony szef ludowców Kosiniak-Kamysz Władysław, także wicepremier i minister od wojowania, na antenie RMF FM w piątek 19 lipca. „Pracujemy teraz nad tym w PSL-u, pani poseł Paśławska się tym zajmuje, żebyśmy zaproponowali swoją ustawę o statusie osoby najbliższej, która będzie ułatwiać dziedziczenie, dostęp do informacji medycznej” – wyznał.

Cóż to takiego ten status osoby najbliższej? Ano coś, co zdaniem ludowców ma zastąpić związki partnerskie. Zamiast małżeństwa jednopłciowego, zamiast związku partnerskiego, dwie kochające się i żyjące wspólnie osoby będą mogły dostać urzędowy paperek, że... no właśnie, że co? Że są znajomymi? Że się kumplują? Że mieszkają w jednym mieszkaniu? I że niby na tej podstawie ma być możliwe dziedziczenie między nimi i uzyskiwanie informacji medycznej.

No, nareszcie! W środowiskach LGBT zapowiadała z tego powodu powszechna szczęśliwość, a Kosiniak-Kamysz urosł w oczach ich przedstawicieli do roli zbawiciela, zaś Urszula Paśławska – madonny-matki, „co nas otacza tarczą swej opieki”.

A poważnie? Poważnie to ludowcy będą mieli się okazać przekonani, co osoby LGBT myślą o nich i ich postawie, niech no tylko skończą się sejmowe wakacje. Albowiem co poniektórzy działacze elgietowscy – jak nam doniosły zaprzyjaźnione myszy mieszkające w lokalach organizacji LGBT – wybierają się większą grupą do sejmu, by wyrazić PSL-owcom „wdzięczność” bardziej bezpośrednio.

„PSL szoruje po dnie. Już nie związki partnerskie, a »status osoby bliskiej«. Nikt was o to nie prosił! Wyznaczacie nowy rekord hipokryzji. Jesteście jak PiS” – pisze na swoim instagramowym profilu Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza.

Jak Polska długa i szeroka, wszyscy spod znaku tęczy zastanawiają się, co się ludowcom w główkach poprzestawiało, że wychodzą z taką propozycją. Musi to przez te upały – nie ma innego wytłumaczenia. Lecz ducha nie gaście! Zaufajcie! Wicepremier wie, co robi. „Jesteśmy bardzo pragmatyczną formacją i szukamy rozwiązań, które nie tylko będą heroicznie prezentowane i uciechają na etapie prezentacji, tylko mają szansę wejścia w życie. Zgłaszanie dzisiaj projektów w tym obszarze, bardzo daleko idących, i liczenie, że prezydent Duda to zaakceptuje, jest po prostu oszukiwaniem tych, wobec któ-

rych składa się te propozycje. (...) Jeżeli chcemy coś zrobić, ułatwić ludziom życie, to zrobimy coś naprawdę, a nie po to, żeby opublikować projekt swoich marzeń, czy taki, który akceptuje moje środowisko polityczne, ale nikt więcej” – powiada.

Ten facet nie wie, o czym mówi. Jeżeli tak bardzo zależy mu na realnym wprowadzeniu rozwiązań ułatwiających życie parom jednopłciowym, to niech się nie wygłupia, tylko poprze wraz ze swoją partią pełną ustawę o równości małżeńskiej z wszelkimi jej konsekwencjami – mówi jedna z aktywistek LGBT, zastrzegając, że i tak trzeba z tym poczekać do czasu naturalnego odejścia prezydentury Dudy. Podkreśla, że

jeżeli nawet PSL opracuje własny projekt ustawy o statusie osoby bliskiej, to będzie to właśnie taki projekt, o jakim mówi Kosiniak-Kamysz: „projekt swoich marzeń, czy taki, który akceptuje moje środowisko polityczne, ale nikt więcej”.

– Bo nikt więcej takiego projektu nie zaakceptuje. Ani osoby, organizacje i środowiska LGBT, ani koalicjanci – dodaje. – To będzie tylko projekt dla PSL, by ukoić ich własne sumienia.

Inny aktywista uważa wręcz, że PSL, występując z propozycją ustawy o statusie osoby bliskiej, dokonuje swego – jak to się z angielska mówi – pinkwashingu. W dosłownym tłumaczeniu oznacza to

„różowe pranie” – a tak naprawdę, udawanie troski o prawa osób LGBT.

– Może dotarło do nich, że dali ciała, sprzeciwiając się ustawie o związkach partnerskich. Może dotarło do nich, że tracą na tym w oczach wyborców, bo przecież także na wsiach, wśród potencjalnych wyborców PSL, jest mnóstwo osób LGBT. Próbują zatem podejmować jakieś działania rzekomo w trosce o dobro osób LGBT, składają propozycję, którą uważają za realną do uchwalenia, ale w gruncie rzeczy chodzi im tylko o własny wizerunek – mówi aktywista. I dodaje, że środowiska LGBT nie pójdą na żadne takie myki, bo o ile ustawa o związkach partnerskich i tak jest protezą pełnej równości małżeńskiej, o tyle ustawa o statusie osoby bliskiej, jeżeli zostałaby uchwalona, byłaby protezą protezy. – Poza tym, dlaczego PSL uważa, że najistotniejsza sprawa dla społeczności LGBT, która w Polsce jest liczniejsza niż wyborcy PSL, ma zostać złożona na ołtarzu spokoju ludowców i ewentualnej akceptacji Dudy? – pyta. – Chcemy pełnej równości małżeńskiej i wcześniej czy później będziemy ją mieli. Z PSL-em, czy bez niego...

Jako partia, której sprawy wszystkich grup LGBT są całkowicie obce, PSL nie ma żadnego rozeznania w potrzebach tych środowisk i żadnego doświadczenia w pracy na ich rzecz. Skąd zatem wśród działaczy PSL przekonanie, że są w stanie stworzyć jakiegokolwiek prawo, które byłoby próbą odpowiedzi na te potrzeby? Trzeba dużo tupetu, by w tej konkretnej sytuacji takiego przekonania nabrać.

PSL trzusi się niepotrzebnie. Nikt przytomny w tym kraju ich pomysł nie kupi, a jedyne, co stronnictwo osiągnie, to chyba tylko jeszcze większy spadek społecznego poparcia dla siebie przerażający się w otwarty wkurw.

EB

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Niemal każdego dnia, już od wielu tygodni, w różnych tzw. środkach społecznego przekazu bardzo dużo się mówi, pisze o „wielkim imperium o. Rydyzka”. Mówi się o tym, że Ojciec Dyrektor dostał setki milionów złotych i dodają, że teraz ojciec Rydyżk żadnych pieniędzy nie dostanie (...). **Owszem, Ojciec Dyrektor dostaje pieniądze, ale to jest emerytura z ZUS i to są naprawdę niewielkie pieniądze, ale Ojciec Dyrektor nie bierze tych pieniędzy na swoje konto, bo go nie ma. Ojciec Dyrektor przekazuje te pieniądze na Akademię Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu.** Zatem, jeżeli ktokolwiek pisze lub mówi, że Ojciec Dyrektor dostawał pieniądze od rządu, od kogokolwiek, to po prostu kłamie.

o. Jan Król CSsR, 33. pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę, 14 lipca

■ Prąd idzie w górę. Inwestycje siadają. Gospodarka kuleje. Unia nakłada nowe jarzmo... **Ale oni myślą jedynie o wulgarnym, egoistycznym seksie, po którym można zamordować niewinne dzieciątko.**

ks. Daniel Wachowiak, X, 13 lipca

■ **Od lat musimy stawiać czoła nasilającej się fali ataków na wiarę i polskość, na wszystko, co dla nas najświętsze, najdroższe i najukochańsze.** W zeszłym roku musieliśmy dawać opór brudnej kampanii propagandowej wymierzonej w św. Jana Pawła II. Wcześniej musieliśmy chronić świątynię przed barbarzyństwem fanatycznych przeciwników Pana Boga. Dziś po politycznej zmianie (...), musimy stawiać w obrocie więzionego i torturowanego wybitnego kapłana, księdza Michała Olszewskiego. To bezprawie ma na celu z jednej strony pogwałcenie obecnej opozycji, a z drugiej **odstraszanie duchownych od angażowania się w działalność na niwie społecznej, którą liberalno-lewicowy mainstream chce zastrzec tylko dla siebie.**

Jarostaw Kaczyński, 33. pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę, 14 lipca



■ **Zorganizowana grupa przestępcza to my, czyli patrioci, myślący po chrześcijańsku,** reprezentujący polskie dziedzictwo w przestrzeni publicznej, przeciwnicy ustawy o mowie nienawiści i o zabijaniu nienarodzonych, dbający o rodzinę. To my! prof. Jan Żaryn, X, 15 lipca

■ Oto znów, od jakiegoś czasu wraca w Polsce otwarta wojna z Kościołem katolickim i religią. (...) **Różni podżegacze, chcąc wywołać w swoich zwolennikach prymitywne uczucie zadróżki, plotą bzdury o bogactwie Kościoła, zwłaszcza znieprawdzonego ojca Tadeusza.** Myślą, iż ludzie są aż tak nierozumni, że uwierzą w te ich brednie i łgarstwa. **Są niszczone autorytety kościelne, a honorowani są w mediach liberalnych tzw. teologowie dyżurni, epigoni dawnych księży patriotów.**

ks. bp. Ignacy Dec, 33. pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę, 13 lipca

■ Być może niektórzy ludzie, nawet na ministerialnych stanowiskach, gdzie podejmowane są decyzje o kształcie polskiej edukacji, stwierdzili, że **dość już tego chrześcijaństwa, dość katolicyzmu w polskiej kulturze, trzeba to „opiłować” tak, żeby katolicy nie podnieśli więcej głowy, jak mówili urzędujący dzisiaj minister sportu, a wtedy jeszcze poseł opozycji.** (...) To jest karkołomne zadanie, ale jeżeli ktoś przede wszystkim kieruje się **ideologicznymi względami, to znamy z historii wielu rewolucjonistów, którzy podejmowali się rzeczy urągających zdrowemu rozsądkowi, ale kończyło się to fatalnie dla wspólnoty, w tym przypadku wspólnoty kulturowej, jaką jest naród polski.**

prof. Grzegorz Kucharczyk, Radio Maryja, 14 lipca

KLECHA

Patron święty internetu



Szklana trumna dla księcia w dresie

Popsuło się... Zaliczyliśmy globalną awarię systemu Microsoft. Niejeden spocił się jak mysz, jakby do pocenia się nie wystarczyła obecna temperatura. Świat jak nie kijem nas, to pałką... Przyjdą nowe pokolenia, nie będą pamiętać naszej normalności – stworzą swoją własną.

Papież już na to wpadł i uznał drugi cud Carlo Acutisa. Rzeczony Carlo zmarł w piętnastej wiosnie życia – w 2006 roku. Kiedyś czekało się na świętość i dwieście lat. Przypadek włoskiego nastolatka pokazuje, że teraz nie trzeba nawet dwóch dekad, aby wejść na ołtarz. Spieszymy się. Biegnijmy, bo świat nam ucieka. Pytanie: czy to naprawdę byłaby taka strata, i dla nas, i dla świata – gdyby uciekł?

Carlo Acutis zmarł na błyskawiczną postać białaczki. Kolejny dowód, że szybko nie znaczy przyjemnie...

Chłopak urodził się w ateistycznej rodzinie, ale – trzeci cud? – wychowywała go polska niania, która uświadomiła dziecku, że „Eucharystia to moja autostrada do Nieba”.

Normalny piętnastolatek codziennie wali konia, ten nastolatek codziennie połykał wafel. Teraz spoczywa niczym upiorna Królowa Śnieżka w przezroczystej trumnie. Trumna zaś znajduje się w Asyżu (romański Kościół Matki Bożej Większej). Chłopak pochowany jest w ulubionym dresie i adidasach – dość to makabryczny widok. Jednak i unikalny. Można odetchnąć średniowieczem.

Młody uwielbiał grać nie tylko w sporty „analogowe”. Szczególnie wciągnęły go gry komputerowe: Halo, Super Mario, Pokemon. Wbrew intencjom papieża, czyni to z Carla dinozaura dla współczesnej dzieciarni, która już sobie to i owo odpuszcza. Gry nie, internet i socjal media – tak. Tak na wszelki wypadek Kościół nazywa błogosławionego (2020) Acutisa „bożym influencerem”. Jest patronem internetu. Może gdyby znudzona szczeniarnia, która utknęła na lotniskach w drodze po słońce, pomodliła się do młodego, to Microsoft pozbiłaby się szybciej? Z drugiej strony, takie wakacje, już nie daj Bóg z rodziną – to nuda jest. I na chuj się modlić?

Jako programista amator, Acutis wygłosił: „Wszyscy rodzą się jako oryginały, ale wielu umiera jako fotokopie”. Zawsze wydawało mi się, że jest na odwrót. Pierwszy cud Acutisa to uzdrowienie dziecka z wrodzoną wadą trzustki. „Oryginalność urodzenia” nie brzmi w tym kontekście najlepiej. Drugi cud – uleczenie dziewczyny, która pierdolnęła z roweru na głowę... Tak, sport bywa niebezpieczny. A świeże powietrze truje i truć będzie jeszcze mocniej. Miliarderzy pozamykają się w komfortowych bunkrach, jak mumia chłopaka jest zamknięta w trumnie – „komfortowej”.

„Młodość charakteryzuje się zazwyczaj naturalnym optymizmem, energią i nadzieją. Pozwól Chrystusowi przemienić twój naturalny optymizm w autentyczną miłość” – ogłosił papież w czasie Latynoamerykańskiego Spotkania Krajowych Duszpasterstw Młodzieży właśnie odbywającego się w Paragwaju. No widać, że Franciszek to stary, bezdzietny kawaler. Normalny nastolatek – bo niekoniecznie nawiedzony jak wspomniany Włoch – istotnie jest gejerem optymizmu i nadziei (sarkazm). Na pocieszenie ramoli takich jak my, papele pierdolnął odpust całkowity na Światowy Dzień Dziadków i Osób Starszych (28 lipca). Hasło imprezy wzięte z Psalmu 71 – „Nie opuszczaj mnie w mojej starości”. Dodam, że są to słowa człowieka kierowane nie do pielęgniarki, opiekuna czy wnuczka, a do Boga. Bóg znieś wszystko!

Człowiek niekoniecznie. Pamiętajcie o tym, Kochani Czytelnicy, pijcie dużo wody, a jak przyjdzie jakiś szczeniak po Waszą emeryturę, to kaźcie mu spierdalać. Albo niech się modli o robotę w IT, bo teraz już trzeba się modlić, aby tam dostać pracę, nie mówiąc już o tej godzinie. I oto stał się cud czwarty...

IZABELA SZOLC

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ 15 lipca zarzuty związane z seksualnym wykorzystywaniem młodych kobiet usłyszał w prokuraturze w Zamościu były dyrektor Krajowego Biura Organizacyjnego Światowych Dni Młodzieży, diecezjalny duszpasterz akademicki w Radomiu ks. Mariusz W. Na dokładkę prokurator przybił kleśse paragraf również za podżeganie do składania fałszywych zeznań. Zarzuty dotyczą siedmiu czynów z lat 2011–2021. Na wniosek prokuratury sąd podjął decyzję o zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci trzymiesięcznego aresztu tymczasowego dla jurnego duchownego. Wiadomo, że śledczy zamierzali go w dniu jego 45. urodzin. I tak zamiast dmuchać w świeczki na torcie, ksiądz będzie pierdził w pasiak.

➤ Sąd Okręgowy w Kaliszu rozpatrzył sprawę kobiety domagającej się od diecezji 10 tys. zł zadośćuczynienia za krzywdę spowodowaną zachowaniem wikariusza, który mszę pogrzebową jej zmarłej teściowej odprawił kompletnie pijany. Kiedy pojawił się w kościele, bełkotał, nie miał siły samodzielnie stać ani wyjść z budynku po mszy. Na uwagę synowej, że jej teściowa nie zasłużyła na takie pozegnanie, nakrochmalony duchowny miał odpowiedzieć: „Idź precz, szatanie”. Ostatecznie na cmentarzu, na który dotarł kondukt, na kleśkę czekała już policja. W zbadaniu alkomatem funkcjonariusze wypisali mu mandat. Diecezja nie chciała uznać swojej formalnej odpowiedzialności za zachowanie podwładnego. Sąd Rejonowy w Ostrowie Wielkopolskim przyznał synowej za-

daną przez nią kwotę, uzasadniając wyrok tym, że relacje księdza i jego przełożonych należy uznać za relację zwierzchnictwa w rozumieniu kodeksu cywilnego, który stanowi, że ten, kto zleca danej osobie wykonanie czynności, jest odpowiedzialny za wyrządzoną przez nią szkodę. SR podkreślił, że poprzez obrazę uczuć religijnych i „kultury pamięci najbliższej osoby zmarłej” doszło do naruszenia dóbr osobistych synowej. Diecezja odwołała się od wyroku, a jej apelację za zasadną uznał sąd okręgowy, który zdecydował, że nie odpowie za czyny duchownego. Sąd wyjaśnił, że ustalenie, czy obrządek został odprawiony skutecznie, nie zależy od moralnej postawy sprawującego go, ale od czynników obiektywnych, m.in. faktu, że jego świę-

cenia kapłańskie są aktualne. A zatem msza i obrzędy pogrzebowe sprawowane przez napranego kleśkę były ważne – choć niegodziwie sprawowane. Ksiądz moczy-morda, a sędzia kalosz.

➤ Katolicka wspólnota Usprawiedliwieni 2103 zaprasza na rekolekcje „Jezus na Stadionie Legii”, które odbędą się 7 czerwca 2025 r. przy ul. Łazienkowskiej 3 w Warszawie. Szereg atrakcji zapewni doznania lepsze niż na sądzie ostatecznym. Na dwudziestu scenach ma się odbyć 20 dwudziestominutowych konferencji na temat wiary, rekolekcje prowadzić będzie redaktor „Gościa Niedzielnego” Marcin Jakimowicz, a show uświetni sam ksiądz Rafał Jarosiewicz. O duchownym zrobiło

się głośno kilka lat temu, kiedy poprowadził rekolekcje w wielkopolskim Lesznie. Nie wszystkim spodobało się wówczas, że część uczestników, rzekomo natchniona Duchem Świętym, padała w konwulsjach na ziemię, a nawet traciła przytomność. Ks. Jaroszewicz zarzekał się, że wszystko to było dziełem modlitwy. Międzynarodowy rozgłos duchowny zyskał w 2019 r., kiedy w asyście ministrantów i wiernych z parafii NMP Matki Kościoła i św. Katarzyny Szwedzkiej w Gdańsku spalił na stosie m.in. książki o Harrym Potterze, hinduskie figurki i parasolkę z Hello Kitty. Organizatorzy spodziewają się 30 tys. osób, warto więc wcześniej zakupić bilety.

➤ Trzy zarzuty naruszenia nietykalności cielesnej usłyszał ksiądz uczący w jednej ze szkół podstawowych w Sanoku (Podkarpacie), który miał m.in. uderzyć ucznia w salce katechetycznej przy parafii, bo ten ruszał jego gitarę. Śledztwo w tej sprawie zostało wszczęte 15 marca po zawiadomieniu złożonym od prokuratury przez dyrektorkę szkoły, w której księżu jeszcze niedawno był katechetą. Do zdarzeń doszło w listopadzie 2023 r. Dochodzenie w sprawie naruszenia nietykalności z oskarżenia prywatnego w tym przypadku zostało wszczęte w związku ze „skargą publiczną” ze względu na „ważny interes społeczny”. Prokuratura nie wyklucza, że ksiądz usłyszy kolejne zarzuty oraz że w charakterze świadków zostaną przesłuchane kolejne osoby. Wyrzwnemu duchownemu grożą grzywna, ograniczenie wolności albo pozbawienie jej na okres roku.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Zdrowaśki pod palmami

Wiara i wypasione wojaże

Za parszywej komuny, gdzieś w połowie lat 80., gdy kler cierpiał okrutne męki z rąk komunistycznych siepaczy, budując najwięcej kościołów w całej Europie, moja ukochana śp. babcia zabrała wnuki – brata i mnie – na pielgrzymkę do Lichenia. Wstaliśmy jakoś bardzo wczesnym rankiem i wtarabaniłmy się do zdezelowanego ogórka, który zajechał pod parafialną świątynię. Przewodził nam wielebny proboszcz i jego na poły oficjalna kochanica, co dowodzi ponad wszelką wątpliwość, iż kalmunia jest przekonanie, że wszyscy księża to geje (mówiło się wtedy u nas na wsi: pedały lub pederasci) lub pedofile.

Pamiętam, że było to duże wydarzenie w moim dziecięcym życiu, a działo się to jeszcze przed tym, zanim Licheń zaczął być wypasionym celem dla pątników, swoistym katolickim Disneylandem, równie swojskim, co kielbasa i disco polo. Największą atrakcją była opowieść jakiegoś nawiedzonego zakonnika, który pokazywał jakiś krucyfiks, którego nie uszanował jakiś hitlerowiec, a potem nazistowska gadzina została jakimś cudownym sposobem zgładzona przez listościwego Jezusa Chrystusa, który – jak wiadomo – był Żydem. Żałuję, że tej historii za czasów PiS-u nie sfilmowano w jakimś drogim filmie, sfinansowanym z budżetu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, wszak to taka opowieść przebijająca „Bękarty wojny”.

Dzięki – nie bójmy się tego powiedzieć – Bogu, komuna upadła, naród, znajdujący się pod opieką Najświętszej Marii Panny i życzliwą troską Beci Szydło i Pinokia Morawieckiego, wzbogacił się niepomniernie, toteż dziś

pielgrzymki po kraju są dla plebsu. Prawdziwie wierzący, którym Bóg pobłogosławił finansową pomyślnością, podróżują po świecie. Ci, którzy zobaczyli trzy razy Watykan, Lourdes czy Medugorje, mogą chwalić Pana w Meksyku, Chinach czy na Zanzibarze.

Czas przybliżyć ten kolorowy świat egzotycznych wycieczek, które znajdują się pod bożą – a często księżą – opieką. Takich biur jest ok. 50. I mają one co robić, Polacy stanowią bowiem aż 20 proc. europejskich pielgrzymów, są nawet znaczącym graczem na rynku globalnej sakro-turystyki, odpowiadając za 5 proc. pielgrzymek.

Pobożny wypas

Pielgrzymowanie nie umknęło bacznej uwagi Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI). Prof. Barbara Strzałkowska, teolożka, biblistka i przewodnicząca po Ziemi Świętej, w rozmowie z agencją powiedziała, że pielgrzymowanie za granicę, choć bywa również formą wypoczynku, „poszerza horyzonty i jest przede wszystkim sposobem pogłębiania relacji z Bogiem”. Celna uwaga. Niby Bóg jest wszędzie, ale w takiej Brazylii czy Chinach pewnie jest jakoś bardziej obecny niż we Włocławku czy Radomiu. To logiczne, gdyby przecież tak nie było, te dziesiątki biur pielgrzymkowych nie stawałyby na egzotyczne destynacje.

Założmy, że chcemy skorzystać z biura czysto kościelnego, sprawdzonego od wielu lat, a na dodatek – podobno – przekazującego dochody na działalność charytatywną. Tu objawia się nam Caritas Travel, reklamujące się na swej witrynie

internetowej słowami: „Biuro od 32 lat spełnia Państwa marzenia o podróżach. Wszystkie te lata zaowocowały doświadczeniem licznym setkami pomyślnie zrealizowanych imprez turystycznych oraz kilkudziesięcioma tysiącami zadowolonych Klientów. Dokładamy wszelkich starań, aby programy naszych imprez były bardzo atrakcyjne oraz unikalne na polskim rynku”.

Biuro promuje 12-dniową wycieczkę „Gruzja, Armenia – z Morzem Czarnym i Górami Wielkiego Kaukazu – Dla Koneserów. Hotele 5* – 4*”. Można zwiedzić pogańską świątynię Mitry sprzed 2 tys. lat z ruinami pałacu królewskiego i łaźni. Aby nie popaść w bałwochwalstwo, następnie pielgrzymi zobaczą klasztor z listy UNESCO w Gerhard, którego nazwa znaczy „święta włócznia”. Organizator zachwala: „Zobaczmy cele mnichów i inne pomieszczenia klasztorne wykute w skałach”. Można też zobaczyć miejsce uwięzienia św. Grzegorza Oświeconego, kimkolwiek by on nie był. Znajdzie się też miejsce na „wypoczynek nad Morzem Czarnym (basen, plaża). Dla chętnych liczne atrakcje w mieście, m.in. delfinariu, rejsy statkiem/katamaranem, loty motolotnią, skutery wodne itp.”.

Mi się wydaje, że motolotnia najbardziej zbliża do nieba, a może nawet Nieba...

Afrykańska przygoda

Biuro turystyczno-pielgrzymkowe Piotrtavel zachęca z kolei do przeżycia „Afrykańskiej przygody”, zapewniając takie atrakcje jak: safari wśród dzikich zwierząt, miejsca, gdzie są misje chrze-



ścijańskie, spotkanie z Masajami. I pobyt na Zanzibarze.

Z kolei EK Travel namawia na „Pielgrzymkę do Libanu – Śladami świętego Szarbela”. Wszyscy, choćby najpobożniejsi, którzy ni chuja nie mają pojęcia, kim był ów Szarbel Makhlouf, mogą zapoznać się fragmentem jego „Orędzia z Nieba”: „Nie sprzedawajcie waszych dusz, ponieważ świat nie zapłaci wam takiej ceny, jaką jest Krew Chrystusa przelana na Krzyżu. Królestwo Boże nie jest celem, lecz drogą, którą możecie w sobie odkryć dzięki mocy Ducha Świętego, krok po kroku, dzień za dniem, w małych szczegółach wypełniających twoje życie sekunda po sekundzie”.

Wycieczka śladami św. Szarbela jest też polecana dla osób chorowitych, bo za wstawiennictwem tego maronickie-

go pustelnika do dziś „zarejestrowano ponad 24 tys. cudownych uzdrowień”. Można otrzymać olejek św. Szarbela. Zwiedzić lasy cedrowe – niektóre drzewa mają ponad 3 tys. lat! – wspomniane w Biblii ponad 70 razy. Patriotów ucieszy zwiedzenie polskiego cmentarza wojennego w Bejrucie.

Kochający Matkę Teresę z Kalkuty powinni zastanowić się nad ofertą palotyńskiego Peregrinusa zachwalającego 15-dniową lotniczo-autokarową wycieczkę śladami tej świętej, poetycko zatytułowaną „Zrobić coś pięknego dla Boga”. Czego tam nie ma! Świątynia

małp, pałac maharadzy, rezerwat przyrody, hinduistyczna świątynia, a poza tym „rejs łodziami po Gangesie wzdłuż Ghatów (kamiennych schodów prowadzących do rzeki) – wschód słońca i obserwacja rytualnych kąpiei”. Jest też „Sarnath – miejsce, gdzie Budda wygłosił swoje pierwsze kazanie o drodze prowadzącej do nirwany”.

Szukając prawdziwej egzotyki

W całej rozciągłości zgadzamy się ze słowami prof. Strzałkowskiej, która stwierdziła w rozmowie z KAI: „Pielgrzymowanie pozwala odkryć prawdziwego siebie, swoje powołanie. Pielgrzymka jest takim obrazem życia, które jest drogą. Człowiek nazywany jest w teologii homo viator, czyli ten, który jest cały czas w drodze i zmierza do niebiańskiej Ojczyzny. Podróż uświadamia nam istotę naszego chrześcijańskiego powołania i jest odbiciem tej wędrówki człowieka. Pana Boga można odkrywać w pięknie natury, na różnych szlakach”.

Prawdę mówiąc, nie dziwię się, że wielu polskich katolików odkrywa Pana Boga na Zanzibarze czy w Japonii. Kibicuję gorąco egzotycznym pielgrzymom i tylko czekam, aż jakieś biuro – kiedy Elon Musk zjeździe nieco z ceny – będzie oferować kato-turystykę kosmiczną, choćby na Marsa; może wszak na (tfu!) Czerwonej Planecie tylko czekają na pobożnych Polaków. Na dzień dobry proponuję wyeksperymentować na Marsa Rydzyka, któremu na Ziemi – tej ziemi! – ostatnio coś się nie wiedzie. Znając jego talenty organizatorskie, lada dzień zbuduje on tam nieziemskie centrum pielgrzymkowe...

K.K.

Katolicka miłość francuska

Uwodziciele z Francji imają się różnych zakonów

Francuski episkopat chwalił się niedawno, że coraz więcej ludzi nad Sekwaną przyjmuje chrzest. „We Francji w tym roku przyjął ten sakrament ponad 7 tys. dorosłych. Co ciekawe, ta liczba wzrosła nie tylko o 31 proc. od ostatniej Wielkanocy, ale podobny proces zachodzi już dłużej – katechumenów jest bowiem obecnie o 120 proc. więcej niż dekadę wcześniej. Całość wydaje się iść naprzeciw prądom kulturowym podkreślającym niedoskonałość instytucji Kościoła” – z dozą triumfalizmu informuje portal Vatican News, zastrzegając jednak, że chodzi o dorosłych, bo wśród chrześcijańskich dzieci nadal utrzymuje się tendencja spadkowa.

Wróg Lolka i Teresy

Wspomniana w tekście „niedoskonałość instytucji Kościoła” coraz mocniej się ujawnia. Ostatnio francuską opinię publiczną pochłania dyskusja na temat jednej z ikon tamtejszej religijności i działalności społecznej. O co najmniej niewłaściwie zachowania wobec kobiet oskarżony został człowiek znany jako abbé Pierre (ojciec Piotr).

Henri Grouès – bo tak się naprawdę nazywał – żył w latach 1912–2007. Pochodził z zamożnej rodziny, w wieku 19 lat rzekł się majątku oraz praw do spadku i wstąpił do zakonu kapucynów. Wkrótce jednak opuścił zakon i został „zwykłym” księdzem w Grenoble. W czasie II wojny światowej walczył na froncie, a następnie działał w ruchu oporów i pomagał Żydom. Po wojnie był deputowanym do Zgromadzenia Narodowego i zajął się działalnością społeczną. Utworzył wspólnoty Emmaus, których zasadą uczynił to, że ubodzy pomagają ubogim. Dzięki niemu powstały we Francji tysiące przytułków, a także stworzono dla nich systemową państwową pomoc.

Ojciec Piotr popełnił – z polskiej perspektywy – grzech śmiertelny, gdyż nie lubił JP2, któremu zarzucał zbyt kosztowne wycieczki po całym świecie, choć sam też sporo jeździł.

Miał więcej grzechów: lubił Gandhiego, a nie lubił Matki Teresy – zarzucał jej zbyt konserwatyzm i rygorystyczny moralny. Sam był zwolennikiem poluzowania dyscypliny kleru. U kresu życia, w 2005 r.,

w książce „Mój Boże... dlaczego?” wyznał, że wielokrotnie łamał celibat.

Feministka kala pamięć

Z tej krótkiej charakterystyki wynika, że nie był to ksiądz w typie znanym z naszego podwórka. Za życia media kościelne za nim nie przepadały, za to w lewicujących był częstym gościem. Nic więc dziwnego, że fakt oskarżenia go o molestowanie ochoczo podjęły polskie prawicowe media, zazwyczaj powściągliwie informujące o nadużyciach seksualnych kleru albo – częściej – zupełnie je przemiłczając. Miło się patrzy jak ci, którzy daliby się za duchownych pokroić, rzucają się na tego, który nie jest „ich”.

Raport w sprawie abbé Pierre’a przygotowała na zlecenie wspólnoty Emmaus kancelaria prawna założona przez Caroline De Haas. To wiadomość o tyle istotna, że obrońcy zmarłego księdza poddają w wątpliwość jej obiektywizm, bo to znana działaczka feministyczna, znana ze swej „księżożercości”. W każdym razie jej starania „pozwołyły na uzyskanie relacji siedmiu kobiet, które wskazały na zachowania mogące przypominać agresję seksualne albo napastowanie seksualne, popełnione przez o. Piotra pomiędzy końcem lat 70. i rokiem 2005” – jak głosi oświadczenie wspólnoty. Nie są to więc zarzuty najcięższego kalibru, jaki można znaleźć w raportach nt. klechów, ale i tak Francuzi są zszokowani skazą na autorytecie moralnym, zaś władze tamtejszego Kościoła kat. zapewniają o „głębokim współczuciu i wstydzie, iż takie czyny mogły zostać popełnione przez duchownego”.

Zmysłowy i gregoriański

To niejedyna ostatnio afera z francuskim duchownym w roli głównej. W tym samym czasie o nadużycia seksualne został oskarżony Pierre-Marie Delfieux – założyciel Jerozolimskich Wspólnot Monastycznych, łączących życie mnisze z normalnym. Przedstawiciele wspólnoty potwierdzili, że zmarły w 2013 r. Delfieux wykorzystywał pozycję i autorytet do zaspokajania swoich narcystycznych żądz. Jako pierwsza o nie nazbyt pobożnym prowadzeniu się ojca założyciela poinformowała była członkini wspólnoty Anne Mardon w 2019 r. Potem zgłaszali się kolejni zawiedzeni współpracą z tym „uwodzicielem” – jak ochrzczono go w raporcie. W czerwcu 2024 r. aktualny zwierzchnik wspólnot potwierdził, że Mardon nie kłamała w sprawie „zmysłowego i seksualnego wymiaru gestów, jakie wykonywał” i zapewnił, że we wspólnotach zostaną wprowadzone procedury naprawcze.

Kłopoty wizerunkowe ma też Wspólnota św. Marcina, której byli członkowie oskarżają założyciela, ks. Jeana-François Guérina, o „niewłaściwe zachowania o charakterze seksualnym, np. wymuszone pocałunki”. To dla odmiany wspólnota tradycjonalistyczna, propagująca mszę po łacinie i chorał gregoriański. O tym już nasze prawki nie tak chętnie informują, bo nie pasuje do obrazka.

Najstarsza córka Wojtyły

Delfieux, abbé Pierre czy Guérin to kolejni znani francuscy duchowni, którzy w ostatnich latach zostali oskarżeni o wykorzystywanie swoich talentów i popularności do osiągania osobistej satysfakcji, nie zawsze w pełni akceptowalnej prawnie i społecznie. Schemat jest zawsze ten sam: charyzmatyczny przywódca duchowy tworzy społeczność, której członkowie są w niego bezkrytycznie wpatrzeni, a on to w pewnym momencie zaczyna wykorzystywać. Poprzednio o taki *modus operandi* oskarżeni zostali m.in. ks. Georges Finet – założyciel Ognisk Światła i Miłości, twórca Wspólnoty św. Jana dominikanin Marie-Dominique Philipp czy wreszcie Jean Vanier – założyciel wspólnoty Arka, wprawdzie nie duchowny, ale duchowy przywódca i autorytet dla wielu katolików.

Wszystkich łączy to, że działali w podobnym czasie i uchodzili za nadzieję dla skostniałych struktur francuskiego Kościoła, co skrzętnie wykorzystywali do rozprostawania własnych kości – niekoniecznie leżąc krzyżem.

W 2021 r. opublikowano raport niezależnej – czyli niezwiązanej z klerem – komisji, z którego wynika, że w latach 1950–2020 ofiarą księży i pracowników Kościoła padło ponad 300 tys. nieletnich. W afery seksualne było umocowanych 3 proc. tamtejszych duchownych. JP2 w 1980 r. nazwał Francję „najstarszą córką Kościoła”. Co może wyjść dobrego z takiej matki, uprawiającej najstarszy zawód świata?

MATT KOBOSKO

Puszką Putina

Zawieszenie walk namnoży Ukrainie dodatkowych problemów. Rosji, Europie i całemu światu też.

Choć zimą 2022 r. Rosjanie koncentrowali swe wojska wokół Ukrainy, to wielu ekspertów i wojskowych wątpiło w ich atak. Jednym z nich był generał Mieczysław Różański. Kierując się rozsądkiem i wojskowym doświadczeniem uważał, że „w wielką wojnę można wątpić”. Bo „Rosja gromadzi wojska od wielu tygodni, przez co przy ewentualnym ataku nie byłoby żadnego zaskoczenia”. W efekcie takiego ataku Ukraina zdążyłaby ruszyć z dyplomatyczną ofensywą. Trafiliby do niej zachodni sprzęt, a nawet żołnierze. Dlatego wielu ekspertów uważało, że gdyby Putin naprawdę chciał zająć Kijów, starałby się uderzyć szybko i niespodziewanie.

Okazało się, że putinowska Rosja jednak zaatakowała. Wbrew opiniiom generałów, ekspertów i ku zaskoczeniu zachodniego zdrowego rozsądku.

Kłęska zdrowego rozsądku

Byłem w tym gronie zdroworozsądkowców. Przekonywałem wtedy innych i siebie, że taki atak jednak nie nastąpi, bo Rosji się to zwyczajnie nie opłaca. Cóż, jako Słowianin skażony zachodnimi miazmatami, nie doceniłem potęgi ideowej misji ekipy Putina.

Potem przebieg wojny też zaskoczył ekspertów i aktywnych w mediach emerytowanych wojskowych. Kijów nie upadł, nawet Charków obronił się. Polskie media szybko zaczęły wieszczyć rychłe odbicie Krymu przez ukraińską armię. I przede wszystkim upadek gospodarki Rosji pod wpływem nałożonych sankcji. A nawet kolejną rosyjską rewolucję. Obalenie cara Putina przez ruski lud wzburzony brakiem prawdziwych macburgerów.

Dowodów na taką przyszłość stale dostarczali liczni eksperci, zwłaszcza emerytowani generałowie, którzy szybko zyskali status medialnych celebrytów. Najsłynniejszy z nich, generał Waldemar Skrzypczak, już w marcu 2022 r. przekonywał, że Rosjanie gonią resztkami sił. A „pododdziały rosyjskie utraciły zdolność bojową; ich straty są na poziomie 30-40 procent”. Nie ma też „szans, by na Ukrainę przybyły nowe siły rosyjskie”.

Dwa miesiące później emerytowany generał przekonywał polską opinię publiczną, że „Ukraina ma szansę wyzwoić wszystkie okupowane terytoria Donbasu. Kwestia Krymu powinna być później rozstrzygnięta na arenie międzynarodowej, być może z innym

prezydentem Rosji”. Rok później nadal uważał, że armia ukraińska może „okrzycić i rozbić zgromadzone siły rosyjskie”. To będzie koniec wojny. Jak „w 1917 roku, kiedy żołnierzom odechce się walczyć za cara”.

Proroctwa generała bezkrytycznie powielały polskie media. Czytając z nich obowiązującą wykładnię. Czy była to świadoma dezinformacja mobilizująca potrzebne poparcie dla proukraińskiej polityki NATO i polskich elit politycznych? Uzasadniająca przy okazji pleniącą się w Polsce rusofobię?

Rzadko niestety pojawiali się w polskich mediach opinie zachodnich, również emerytowanych generałów. Philipa Breedlove wieszczącego, że „wojna zakończy się tak, jak zechcą zachodni politycy”. Uspakającego, że jest dobrze, bo na razie Ukraina obroniła Kijów i Charków, co „zachodni politycy” uznali, za jej „strategiczny sukces”.

Albo generała Davida Patreausa, byłego szefa CIA, przewidującego, że „wojnę zakończy ugoda”. Ale dopiero kiedy Kreml uzna, że dalej nie opłaca się jej prowadzić.

Rozejm za ziemię?

Jeszcze na początku tego roku głoszony w polskich mediach postulat zawarcia rozejmu ukraińsko-rosyjskiego kosztem zatrzysmania przez Rosję okupowanych przez nią ukraińskich ziem, uznawany był za głos ruskiej onucy. Agencji Kremla.

Dziś taka opinia traktowana jest coraz częściej jako przejaw zdrowego rozsądku. A nawet sympatii dla coraz bardziej zmęczonego wojną ukraińskiego społeczeństwa.

Dziś łatwiej jest przez polski medialny komentarz akceptowana, bo na świecie zaroilo się od państw oferujących swe misje pokojowe. Głoszą takie pomysły już nie tylko Chiny. Zakończenia walk w Ukrainie chcą państwa afrykańskie, pod przewodnictwem Republiki Południowej Afryki. Chce Brazylia, Indie, Turcja, Emiraty Arabskie. Nawet Węgry pretendują do tej roli.

Każda propozycja negocjacji zakłada wspólne rozmowy przedstawicieli Ukrainy i Rosji. No i zaprzestanie walk na froncie. Rozejm tymczasowy, bo o losie ziem okupowanych zdecydować powinien przyszły układ pokojowy. Jednak doświadczenia uczą, że czasem takie



Rys. MARCIN CHUDZIK

tymczasowe rozwiązania mają wielką przyszłość przed sobą.

Dziś mądrość etapu sugeruje, że Rosji łatwiej jest prowadzić lokalną wojnę na swych peryferiach niż w Ukrainie. Na zajętych ukraińskich terenach armia rosyjska stworzyła system fortyfikacji obronnych. Wybudowała linie kolejowe poprawiające komunikację z zajętym Krymem. Stworzyła sieć relacji gospodarczych z państwami niestosującymi zachodnich sankcji. Wśród nich z Indiami. Uważanymi za demokrację przez demokratyczny Zachód.

Rosja ma też nowego starego prezydenta Putina. Nieuznanego przez demokratyczny Zachód. Ale akceptowanego przez większość państw należących do ONZ.

Ukrainą rządzi prezydent, którego kadencja formalnie skończyła się. Ma teraz mandat prezydenta stanu wojennego. Dopóki trwają walki, może sprawować władzę.

Jest uznawany przez światowych liderów, nawet tych uważanych za kooperujących z Rosją. Kiedy walki ustaną, zacznie obowiązywać rozejm, Ukrainę czekają prezydenckie wybory. Nie będą jednak możliwe na ziemiach nadal okupowanych przez Rosję. Jeśli zostaną zorganizowane jedynie tam, gdzie panuje ukraińska armia i administracja, to

Kreml i jego sojusznicy będą kwestionowali mandat nowego prezydenta do władzy na terenach utraconych przez Ukrainę po 2014 r.

Zawarcie rozejmu za ziemię wzmocni ekipę prezydenta Putina. Uzasadni straty ludzkie i poniesione przez społeczeństwo rosyjskie wyrzeczenia. Bo ziemie ruskie są bezcenne.

Dla prezydenta Zełenskigo i jego ekipy nawet najkorzystniejszy rozejm za ziemię może oznaczać utratę władzy w państwie. Wielu zwycięskich wodzów, jak choćby premier Churchill, przegrywali wybory po wygraniu przez siebie wojny.

Złapał Kozak Moskwicina

Niestety zawarty tak rozejm jedynie otwiera puszkę z nowymi problemami. Namnoży ich Ukrainie, Rosji, Europie i całemu światu też.

Pomimo licznych składanych przez europejskich polityków obietnic trudno przewidzieć, kiedy Ukraina zostanie przyjęta do NATO i do Unii Europejskiej.

Nie będzie to szybko, nawet po zaprzestaniu walk.

Nie mamy też pewności, czy uwolnione od presji wojennej ukraińskie społeczeństwo i jego elity polityczne



Rys. MARCIN CHUDZIK

PIOTR GADZINOWSKI

zechcą w pełni przyjąć obowiązujące w Unii Europejskiej standardy prawne i obyczajowe.

Zapewne Rosja nie zrezygnuje z kreowania i wspierania w Ukrainie środowisk sceptycznych wobec UE i NATO. Brak szybkiej akcesji do Unii i Sojuszu powiększy grono takich sceptyków, wzmocni przeciwników. Zwłaszcza, że najsilniejsi ukraińscy entuzjaści Europy zwykle już do niej wyemigrowali.

Elity polityczne i kulturalne Ukrainy mogą spróbować wariantu tureckiego. Mieć, podobnie jak Ankara, wspólnotę gospodarczą z UE, ale bez kłopotliwego przyjmowania unijnego prawodawstwa i norm obyczajowych. Podobnie może być z NATO: Ukraina stanie się członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego, bez akcesji do UE. Jak Turcja, Norwegia, Albania. Może też mieć w NATO status specjalnego członka.

O przyszłości i zamożności społeczeństwa ukraińskiego i jego państwa zadecyduje jak zawsze gospodarka. Za naście, a może dziesiątki lat okaże się, gdzie żyje się lepiej. Czy w mocarstwie Rosji, czy prozachodniej Ukrainie?

Wiele wskazuje, że konflikt rosyjsko-ukraiński będzie przewlekły i wieloletni. Pewnie dlatego najgorsze warunki dla stabilnego, zamożnego życia będą na spornych ziemiach przygranicznych. Trudno będzie znaleźć poważnych inwestorów zagranicznych do inwestowania tam. Trudno będzie uczynić z Krymu perłę turystyki, zwłaszcza międzynarodowej. Czy sporne ziemie staną się nowymi Dzikimi Polami?

W Polsce można już wspominać o przyszłym rozejmie rosyjsko-ukraińskim. Nadal nie ma dyskusji o przyszłej polskiej polityce wschodniej.

O przyszłych wieloletnich relacjach państwa polskiego z powojenną Ukrainą, ale też Rosją i Białorusią. O relacjach z rosyjskim obwodem kaliningradzkim.

Polskie elity polityczne dalej mogą udawać, że Rosję można wymazać z mapy, od Białorusi odgradzić się fortyfikacjami. Walczącą Ukrainę wspierać, gospodarczą Ukrainę kontestować. Zwalczając nawet. Udawać, że jakoś to będzie.

KUURRRWA!
NUDNA JUŻ
TA WOJNA!



Rys. WIDGET

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Wołodymyr Zełenski w wywiadzie dla BBC zdobył się na przelotową deklarację: „Ukraina jest gotowa negocjować zakończenie wojny z Rosją, nawet z Władimirem Putinem”. Rosja była gotowa negocjować zakończenie wojny z Ukrainą, nawet z Wołodymyrem Zełenskim już w maju 2022 r., podczas rozmów w Stambule. Gdyby tamtych negocjacji nie przerwała wizyta ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona i stanowisko prezydenta USA Joe Bidena, uratowano by tysiące ludzkich istnień. Po obu stronach frontu.

★ Do chwili zamknięcia tego numeru negocjacje się nie rozpoczęły, a na Ukrainie wciąż trwają kampanie propagandowe namawiające

do wstępowania w szeregi armii. Ostatnio na ulicach Lwowa pojawiły się bilbordy przedstawiające wizytę Heinricha Himmlera w ukraińskiej dywizji Waffen-SS Galizien. Himmler dla niepoznaki przystłonięto emblematem dywizji, zaś napis na bilbordzie głosi: „Wczoraj oni, dzisiaj ty”. Dodajmy, że Ukraińskie Siły Zbrojne w rocznicę największej (przegranej zresztą) bitwy Waffen-SS składającej rokrocznie hołdy na cmentarzu hitlerowskich kolaborantów na górze Żbór. Z kolei od 2021 r. organizowane są w Kijowie marsze ku czci dywizji. Tymczasem w Polsce każdy, kto wspomni o ukraińskich nazistach, staje się od razu ruską onucą.

★ Na Ukrainie wciąż istnieje także Organizacja Ukraińskich Nacjonal-

istów (OUN). Jej aktualny przewodniczący Bogdan Czerwak podzielił się refleksją po odsłonięciu pomnika wołyńskiego ludobójstwa w Domostawie. „Niestety, Polacy nigdy nie zrozumieli, że obrażając uczucia narodowe Ukraińców, kopiąc grób dla Polski” – napisał Czerwak na portalu X. Przypomnijmy, że w języku ukraińskich nacjonalistów „grób” oznacza zbiorowy dół na zmasakrowane szczątki cywilów, których po 80 latach nie pozwalają ekshumować.

★ Towarzysze Czerwaka już od niemal stu lat próbują skłonić Ukraińców do mówienia po ukraińsku, a oni tymczasem uparcie komunikują się w języku Puszkina. Powołany w 2020 r. na stanowisko komisarza ds. ochrony języka państwowego Taras Kremin

wyraził oburzenie faktem, iż ledwie połowa uczniów porozumiewa się na zajęciach szkolnych po ukraińsku, a na przerwach jeszcze mniej – 41 proc. Co trzeci uczeń porozumiewa się rosyjsko-ukraińskim surzykiem, zaś pozostali mówią wyłącznie po rosyjsku. Jak zauważa komisarz, mimo trwającej wojny, liczba użytkowników ukraińskiego spada. Istotne są także różnice regionalne – we wschodnich obwodach kraju przeszło 74 proc. uczniów porozumiewa się po rosyjsku. Wobec powyższego komisarz nakazał, aby „kierownicy placówek oświatowych wzmocnili kontrolę nad przestrzeganiem przepisów prawnych dotyczących używania języka państwowego w środowisku oświatowym”, a także zapowiedział surowe ukaranie „rosyjskojęzycznych zbrodniarzy”.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

No dobra, przyznam: uległam czarowi Kamali Harris

Czerwony sztandar Kalifornii

Machiavelli nauczał, że mądry robi od razu to, co głupiec zmuszony będzie zrobić dopiero na koniec. Joe Biden pewnie nie czytał Machiavellego, a jak czytał, to zapomniał. Jak parę dni temu zauważyła korespondentka CNN z Białego Domu, MJ Lee, w otoczeniu prezydenta panuje opinia, że podjęcie decyzji zajmuje mu wiele – „boleśnie wiele” – czasu, a „na koniec dnia podejmuje decyzję najbardziej oczywistą”.

Trzytygodniowa epopeja, rozpoczęta nieszczyśną debatą, a zakończona jego rezygnacją z walki o reelekcję, nie była Bidenowi do niczego potrzebna. Paradoksalnie jednak przysłużyła się Partii Demokratycznej.

Cukrowy haj

Biden wystąpił w charakterze kozy z żydowskiego dowcipu. Tej, co to ją trzeba wziąć do zatłoczonej chaty, a potem wyprowadzić, żeby poczuć, że jest od groma miejsca. Gdyby zrezygnował z kandydowania zaraz po debacie CNN, w której zaprezentował się jako pacjent z głęboką demencją, partia pewnie i tak postawiłaby na Kamalę Harris – z przyczyn praktycznych i finansowych – ale by się nie cieszyła.

Pomiędzy debatą a niedzielnym oświadczeniem Bidena sondażownie naturalnie badały szanse Harris w starciu z Trumpem – i wyniki nie były nadmiernie optymistyczne. Z zestawienia opracowanego przez „Washington Post” w niedzielny wieczór wynika, iż średnia z 11 ogólnokrajowych badań dała Trumpowi półtora punktu przewagi nad Harris; nad Bidenem miał niewiele więcej, bo 1,9 proc.

Jednak – i to jest ogromnie ważne dla zrozumienia sytuacji – pokopany amerykański system wyborczy, oparty na kolegium elektorów wybieranych w poszczególnych stanach, sprawia, że ogólnokrajowe wyniki nie mają tak do końca znaczenia. Na 50 stanów tylko dwa – Maine i Nebraska – nie mają systemu „zwycięzca bierze wszystko”; wszędzie indziej wszyscy elektorzy głosują na tego, który zdobył w danym stanie najwięcej głosów. Co oznacza w praktyce, że można dostać mniej głosów w skali kraju i zostać prezydentem. Zdarzyło się to w historii pięć razy; ostatni w 2016 r., kiedy Hillary Clinton przegrała z Trumpem. Dlatego o tym, kto wygra, mogą zdecydować minimalne różnice w „swingujących stanach”

(czyli tych co głosują raz tak, raz tak). Jak obrazuje to rozentuzjasmowana nową kandydatką stacja CNN, w Pensylwanii przewaga Trumpa nad Bidenem wynosi trzy punkty, a nad Harris – tylko jeden; w Wirginii zaś Trump przegrywa z Bidenem trzema procentami, a z Harris – aż pięcioma. Czyli w Pensylwanii Kamala może jeszcze wygrać, a w Wirginii na pewno nie przegra.

To rozentuzjasmowanie życzliwych mediów, sponsorów kampanii, a przede wszystkim aparatu i aktywów partii – zdaje się kluczowe. Po trzech tygodniach przyglądania się z narastającą rezygnacją Bidenowi okopanemu na pozycji kandydata, demokraci popadli w coś, co jeden z republikańskich strategów nazwał złośliwie acz trafnie „cukrowym hajem”. Ponieważ w USA wszystko da się przeliczyć na pieniądze – sukces opisywany jest w sposób następujący: w ciągu pierwszych 36 godzin kampania Kamali zebrała ponad 100 mln dolarów od 1,1 mln osób, z czego 62 proc. wpłaciło na fundusz wyborczy po raz pierwszy. W tym samym czasie kandydatka zapewniła sobie też poparcie wystarczającej liczby delegatów na zaplanowaną za miesiąc konwencję demokratów; co ważniejsze, nikt nie zapowiedział kandydowania przeciwko niej. Poparcie

celebrytów takich jak George Clooney czy Beyoncé, która oficjalnie pozwoliła używać w kampanii przeboju „Freedom”, to tylko wisienka na torcie.

Che Harris

Wisienką nie jest za to poparcie ze strony ikon lewego skrzydła partii – takich jak Bernie Sanders i Alexandria Ocasio-Cortez. Które nie było takie oczywiste: jeszcze dwa tygodnie temu demokraccy lewacy popierali Bidena i to nie za darmo. Gasnący prezydent w rozpaczliwej próbie zachowania pozycji obiecał „progresywnym demokratom” radykalny skręt w lewo: zapowiedział wzmocnienie programu ubezpieczeń społecznych (w USA utrzymywany on jest ze specjalnego podatku) głównie poprzez większe obciążenie najwyższych dochodów, podniesienie najniższych emerytur, rozszerzenie programów ubezpieczeń zdrowotnych i centralne negocjowanie cen leków z producentami, anulowanie długów medycznych, regulację cen wynajmu mieszkań. Wszystkie te rozwiązania – jak wskazują badania opinii społecznej – mają wśród zwolenników demokratów poparcie rzędu 80–90 proc. Republikanie są bardziej sceptyczni, ale jest to o tyle bez znaczenia, że przepływy elektoratów nie następują pomiędzy republikanami i demokratami, ale pomiędzy tymi dwiema formacjami i kanapą. Czynnikiem entuzjastycznym jest kluczowy; za Bidena szorował po dnie i chyba nie było czasu, żeby podnieść go poprzez propozycje programowe. Kamala Harris jest w tym wyszczególniona jakoś; jej zapowiedzi programowe będą brane – przynajmniej przez demokratycznych i niezdecydowanych wyborców – jako nowy przekaz.

W kontraście do pieszczącego najbogatszych Amerykanów Trumpa, Kamala występuje jako kandydatka „klasy średniej” – co w USA oznacza ludzi pracy. Jak ujął to Bernie Sanders: „wygra, i to mocno, jeżeli skupi się na poważnych problemach pracujących”.

I początek kampanii wskazuje na to, że tak się

właśnie dzieje. Inauguracyjne wystąpienie kandydatki brzmiało cokolwiek lewacko.

„My wierzymy w przyszłość, w której żadne dziecko nie musi dorastać w biedzie, każdy pracownik ma prawo zapisać się do związku zawodowego, każdego stać na opiekę zdrowotną i opiekę nad dziećmi, każdemu przysługuje płatny urlop, każdy senior ma godną emeryturę”.

W Europie – choć może nie takiej gównianej jak u nas – są to tezy dość oczywiste; w USA brzmią one całkiem rewolucyjnie. W USA trwa też, podobnie jak w Polsce, wojna o aborcję, której republikanie chcą zakazać; Harris obiecuje federalną gwarancję prawa do przerywania ciąży. Zaatakowała też Trumpa za plany cięcia ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych zapowiedziane w cieszącej się złą sławą książce „Projekt 2025” wyprodukowanej przez jego ideowe zaplecze – „żeby dać kolejne ulgi podatkowe miliarderom i korporacjom, i zmusić pracujące rodziny, żeby pokryły rachunek”. Skrytykowała zapowiedź likwidacji Obamacare i powrócenia do zupełnie wilczego rynku ubezpieczeń zdrowotnych, które reforma Obamy w jakiś (niedoskonały) sposób ucywilizowała. „My się nie cofamy, bo nasza walka jest walką o przyszłość” – zakończyła w stylu Che Guevary.

Niewdzięczność vs dziwaczność

Oczywiście pobrzmiewał w tym wystąpieniu też inny ton: „prokurator kontra skazany przestępca”. Jak ujął to jeden z entuzjastycznych komentatorów, dawny doradca Clintona: „ona jest prokuratorem, nie adwokatem, nie będzie bronić Bidena, będzie atakować Trumpa, nie będzie w defensywie”.

Z jednej strony – nieodmiennie mam wątpliwości co do sensu negatywnej kampanii; z drugiej wszakże republikanie niewątpliwie jej to ułatwią chamskim prostactwem swoich ataków. CNN już pieczołowicie zbiera przejawy rasizmu ze strony obozu Trumpa. Kandydat na wiceprezydenta J.D. Vance zarzucił jej brak „wdzięczności”. Jest w tym – błyskawicznie czytelny dla wszystkich Amerykanów – rasistowski podtekst. Oto kolorowa przybłuda powinna być „wdzięczna” Ameryce za szansę, którą jej dała.

Matka Kamali, Shyamala Gopalan, jest uczoną prowadzącą badania nad rakiem piersi; jej ojciec, prof. Harris (noszący skądinąd nieszczęśliwe imiona Donald J.) jest emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Stanforda, znanym z prac nad postkeynesowską ekonomią rozwoju. Kamala w żadnym stopniu nie jest produktem społecznego awansu, ucieleśnieniem mitu „od pucybuta do milionera” – ale mówiąc o jej „braku wdzięczności” można zwrócić uwagę na jej pochodzenie etniczne. Jeszcze dalej poszedł republikański kongresman Tim Burchett, który – wprawdzie, trzeba przyznać, podpuszczony przez dziennikarza – ogłosił, że Harris jest „DEI hire”, co w korpomowie oznacza zatrudnienie ze względu na „różnorodność, równość, inkluzywność”; czyli taką amerykańską odmianę punktów za pochodzenie. Sugerowanie, że ktoś zawdzięcza pracę DEI jest jawnym wskazaniem, że nie ma kompetencji, ale dostał robotę za pleć, kolor skóry albo ułomność.

Donald Trump jeszcze w pełni nie rozwinął skrzydeł na odcinku Kamali, ale znając jego szczerą mizoginię i nieskrepowany rasizm, niewątpliwie możemy się spodziewać atrakcyjnej kampanii.

W tym akurat prokuratorskie doświadczenie Kamali Harris w kontaktach z różnymi oprychami może się przydać. Trumpowi będzie trudniej zbici ją z pantafelku – co przychodziło mu nader łatwo z przyzwyczajoną do hołdów Hillary Clinton. Wszyscy zapamiętali scenę z debaty z 2016 r., kiedy to Trump chodził krok w krok za Hillary, co najwyraźniej wyprowadziło ją z równowagi. Na pytanie, co zrobiłaby w takiej sytuacji, Harris odpowiedziała: „Zapytałabym: dlaczego zachowujesz się tak dziwacznie?”.

Dziwacznie – „weird” – ma w tym zdaniu dość dwuznaczne zabarwienie: to jest pytanie, które można zadać komuś, kto w towarzystwie nerwowo pociera krocze. Już się cieszyć na debatę prezydencką Harris – Trump.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben-Gvir udał się pod wrota meczetu Al-Aksa – najważniejszej mułmańskiej świątyni w Jerozolimie – gdzie nagrał film, jak się modli. Modlił się, żeby „premier Netanjahu oparł się międzynarodowym naciskom na podpisanie porozumienia o zawieszeniu broni i zamiast tego kontynuował kampanię wojсковą w Strefie Gazy”; przy okazji postanowił załatwić sobie z bogiem „powrót zakładników, ale bez lekkomyślnego porozumienia, bez poddawania się”. W ramach czystki etnicznej w strefie Gazy izraelskie wojsko zamordowało już 39 tys. ludzi. Bóg starotestamentowy na pewno byłby zadowolony, gdyż jest – jak trafnie zauważa Richard Dawkins – „szczególnie niesympatycznym bohaterem literatury fikcji, mściwym i żądnym krwi zwolennikiem czystek etnicznych”.

2. Południowa Konwencja Baptystyczna, organizacja zrzeszająca w sumie 13 mln ludzi, okazała się takim siedliskiem zboków, że jej wewnętrzne dochodzenie nie wystarczyło i departament sprawiedliwości USA powołał specjalną jednostkę. Przy okazji wychodzą różne przykłady obrazujące, co ludzie boga myślą o sprawach ziemskich. Pastor Johnny Hunt, kierujący konwencją w latach 2008–2010, zaprosił początkującego pastora i jego żonę na wakacje ze swoją rodziną, po czym dopadł kobietę na osobności i zerwał z niej szorty, podciągnął bluzkę, rzucił na kanapę i zaczął całować i obmacywać. Póki co – nic nowego. Za to rewolucyjna była jego interpretacja sytuacji: „To nie był romans, to było spotkanie. Przestałem, kiedy przestałem i odszedłem. Możecie to uznać za niewiemność, ale bardzo się mylicie, nazywając to cudzołóstwem”.

3. Senat Dominikany zatwierdził nowelizację kodeksu karnego utrzymującą całkowity zakaz aborcji. Za przerwanie ciąży – także gdy życie kobiety jest zagrożone, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu lub kazirodztwa i gdy płód jest niezdolny do życia – kobiecie grożą dwa lata, a lekarzowi i położnej od pięciu do 20. Nowelizacja zmniejsza także kary za gwałt małżeński, który definiuje jako „niekonsensualną aktywność seksualną”. Ojciec Manuel Ruiz, sekretarz Komisji Zycia Konferencji Episkopatu Dominikany, ogłosił: „Chociaż nowelizacja nie została jeszcze w pełni zatwierdzona, zrobiliśmy krok naprzód”. I dodał w duchu prawniczo-człowieczym: „Zwolennicy aborcji chcą uznania jej za prawo człowieka przysługujące kobietom, ale my wyraźnie mówimy, że istnieje tylko jedna Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, taka sama dla mężczyzn, kobiet, dzieci, dla wszystkich”.

4. Pastor Shane Vaughn z Duszpasterstwa Pierwszych Zniw w Mississippi ma nowatorskie spojrzenie na problem zmian klimatycznych: martwienie się nimi jest grzechem, bo to nie ludzie spieprzyli Ziemię, tylko Bóg, a Bogu wolno wszystko. „Zmiany klimatu to religia antychrysta, która zaważnęła umysłami świata. Jeśli wierzysz, że ludzkość powoduje zmiany klimatyczne, jesteś oszukiwany przez szatana. Obudź się Ameryko! Wróć do swojego Boga. Daj mu dziesięcinę. Bóg powoduje te kataklizmy. On kontroluje deszcz, suszę, głód, powódzie. Wiesz, dlaczego chcemy wierzyć, że za zmiany klimatu odpowiada człowiek? Bo to daje nam iluzję władzy. Wy, naukowcy z otchłani piekieł, jak śmiecie odbierać Jahwe suwerenne prawo do władania pogodą, którą on sam ustala i tylko on kontroluje, wy demoniczne demony z szamba piekielnych otchłani!”...

5. Mauro Restrepo z Kalifornii pozywa Sophię Adams i domaga się od niej 25 tys. dolarów odszkodowania za oszustwo, niedbalstwo, zмовę, a także celowe oraz nieumyślne zadanie cierpienia emocjonalnego. Restrepo znalazł Adams w internecie, wyszukując hasło „medium”. Jej strona reklamuje ją jako „specjalistkę od miłości parapsychologicznej” oraz „trenerkę zyciową ze stopniem doktora”, co według pozwu „upewniło powoda, że ma do czynienia z profesjonalistką, która jest w stanie mu pomóc”. Po rozłożeniu kart tarota Adams poinformowała go, iż ciąży na nim klątwa zamówiona przez jego byłą partnerkę i że może ją zdjąć za 5100 dolarów. Pomimo dokonania pierwszej wpłaty w wysokości 1000 dolarów, Adams – skarży się Restrepo – „w żaden sposób nie pomogła” jego małżeństwu, ani nie wyliczyła go z bezsenności i poczucia niepokoju.

NO DOBRA.
UWIERZĘ
W CIEBIE
ZA DWIE
STÓWY.



Ilustr. PAVEL FERENC

Rys. OBYWATEL JANIEK

Znajnowszych danych Eurostatu wynika, że w Polsce na początku tego roku było 36,6 mln mieszkańców. O prawie 133 tys. mniej niż rok wcześniej. Innymi państwami, które dotyka kryzys demograficzny, są rządzone przez konserwatystów Grecja i Węgry – i nie dziwota. Kraje, które rosną demograficznie w siłę, to te, do których przybywają imigranci. W Polsce w 2023 r. zgonów było 409 tys., urodzeń – zaledwie 272,5 tys. ONZ opublikowała raport „World Population Prospects 2024”. Stworzyła dla naszego kraju prognozę: w 2100 r. liczba Polaków spadnie do zaledwie 19,3–19,4 mln.

Pora umierać?

Mateusz Łakomy, autor książki „Demografia jest przyszłością”, trzeba go zauważyć, że jest to przeszacowana liczba. ONZ przyjęła, że wskaźnik dzietności w latach 2024–2100 wyniesie 1,30; tymczasem w zeszłym roku było to zaledwie 1,16. Prawica chociaż podchwyciła jego wypowiedź na platformie X: „Jeśli utrzyma się trend z lat 2024–2100, to w 2200 liczba ludności Polski wyniesie 4,0 mln; w 2300 wyniesie 1,1 mln; w 2307 spadnie poniżej 1 mln”.

Łakomy powiedział PAP: „Realizacja różnych polityk służących np. wzrostowi gospodarstwu wpływa na dzietność. Przykładowo umożliwianie nadmiernego zatrudniania na czas określony lub umowy cywilnoprawne, czy poddanie rynku mieszkaniowego w pełni mechanizmom rynkowym, umożliwiającym traktowanie ich jako długofalową inwestycję, zmniejszając ich dostępność dla młodych dorosłych”.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą, toteż głos dała wywołana do tablicy ministra funduszy i polityki regionalnej, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. W social mediach napisała: „Wsparcie państwa powinno iść przede wszystkim na młodych i rodziny. Czyli np. TAK dla wsparcia dostępnych mieszkań. TAK dla żłobków. Natomiast bardzo ostrożnie z kolejnymi dodatkami emerytalnymi i rentowymi. Seniorzy potrzebują młodszych pokoleń – bo bez nich emerytury (nałeczne i wypracowane ciężką pracą) byłyby tylko pustym zapisem na papierze”.

Przekładając to na język bardziej ludzki: dziady, czas umierać. Gwoli ścisłości, wydaje się, że młodsze pokolenia potrzebują też seniorów, a dzielenie i napuszczanie na siebie ludzi, w tym młodych na starych i odwrotnie, jest dość słabe. I przeciwnie.

Rodzi się pytanie, co byłoby skuteczne?

Własność macicy

Kiedy w 2013 r. byłam we Wrocławiu na wykładzie prof. Zygmunta Baumana, zakłóconym przez kiboli i narodowców, dostałam od neofaszystowskich lajz ma-

Zapaść demograficzna w Polsce



Ostatni zgasi światło

lutką ulotkę, obrzydającą tego najwybitniejszego – i najczęściej cytowanego – polskiego humanistę w historii. Jednym z „dowodów” na plugawość Bauman (skądinąd uchodzący po czystce antysemitkiej w 1968 r.) było to, że powiedział on, iż Europa potrzebuje 30 mln imigrantów. A zatem uchodźców i imigrantów powinna powitać z otwartymi rękami. Przypomnijmy, że było to, zanim propaganda PiS-u uczyniła z większości Polaków czystej wody rasistów nienawidzących obcych, zwłaszcza muzułmanów. Jednocześnie, ci sami biali katolicy często szukają możliwości emigracji zarobkowej w Niemczech czy Skandynawii. W czym nie widzą sprzeczności – bo są zwyczajnymi hipokrytami.

Jestem święcie przekonana, że skoro uśmiechnięta koalicja z serduszkim

(Giertych, pozdrawiamy Cię przez gesty las!) nie potrafi nawet zdekriminalizować – nie mówiąc już nawet o legalizacji, która powinna być oczywistą oczywistością – aborcji, to wszelkie kroki pani Pełczyńskiej-Nałęcz i jej podobnych asiorów w kwestii zwiększenia dzietności będą równie sensowne, co uśmierzanie fal morskich grabiami. Polkom odbiera się możliwość decydowania o swoim ciele, o tym, czy i kiedy mają się rozmnażać.

Jednym z istotnych problemów jest upaństwowienie macic. Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński niemal dokładnie pół wieku temu powiedział: „Matka ma prawo do swego ciała, ale nie ma prawa do poczętego dziecięcia, bo ono jest własnością Boga i narodu”. Trzy lata temu wtórował mu doradca

prezydenta Dudy, znany tropiciel spisków, Andrzej Zybertowicz: „Kiedy w macicy znajduje się mieszany materiał genetyczny, kobieta przestaje być właścicielem swojej macicy”.

Śp. matka Polka

Upaństwowienie ciał kobiecych w ciąży skutkuje strajkiem macic – Polki nie rodzą dzieci, przynajmniej w Polsce.

Zachodzi potężna zmiana cywilizacyjna. Kobiety chcą pożyć, cieszyć się dniem dzisiejszym, a nie siedzieć w zasranych pieluchach i wciąż dopraszać się od facetów, by brali aktywny udział w wychowywaniu ich własnego potomstwa. Ideał Matki-Polki jest coraz bardziej wydmuszką, pustym sloganem. Dziewczyny widzą swoje sterane życiem matki, nieustannie piorące, gotujące i sprzątające i wiedzą jedno – one nie chcą takiej egzystencji.

No i gdzieś w głowie Polek kołata wszystko znieść, gdy sytuacja materialna jest w miarę w porządku, a dziecko jest zdrowe. Bo gdy będzie chore, to tatuś się wymiksuje z relacji. Gdy dzieciak będzie chory, to wtedy dzieje się tak, jak w opowieści jednej z bohaterki książki Magdaleny Kostyszy, „Też tak mam”: „Najtrudniejsza w tym wszystkim jest świadomość, że on nigdy nie będzie samodzielny. Lęk o to, co się z nim stanie w momencie, kiedy ja umrę. Kto się nim zajmie. W Polsce jest jeden DPS, który potrafi pracować z dziećmi z autyzmem. Jeden na całą Polskę, rozumiesz to? To, czego nie usłyszysz od rodzica chorego dziecka to to, że chciałby, żeby

jego dziecko umarło przed nim. Nie znam rodzica, któremu chociaż raz nie przeszło to przez myśl”.

Nikt nie może wymagać od innych bohaterstwa i życia, które będzie pełne znoju, cierpienia i lęku.

Oczekując Polski kolorowej

Bauman miał rację co do Europy w ogóle, a co do Polski w szczególności. Naszemu krajowi potrzeba dopływu świeżej krwi. Młodych kobiet i młodych mężczyzn, którzy z czasem nauczą się po polsku, zaczną używać słowa „kurwa” zamiast przecinka. Kibicować reprezentacji w piłkę kopaną, gdzie – jak w drużynach, które brylowały na niedawno zakończonych Mistrzostwach Europy – prym będą wiedli imigranci bądź ich potomkowie. Nie widzę niczego złego w tym, aby gole dla reprezentacji narodowej strzelał kolorowy gość zwany Ahmed czy Nkwame (przed laty strzelał wszak Olisadebe!), skoro już kebaby dla nas robią Turcy. No i czarna czy brązowa miss Polski to będzie nasz atut w międzynarodowych konkursach piękności w epoce różnorodności.

Naszą przyszłość już wskazują duże miasta: Warszawa, Kraków czy Wrocław. Najfajniejsi moi sąsiedzi są czarni jak przyszłość lewicy w Polsce; chyba pochodzą z Maghrebu, bo między sobą rozmawiają po francusku. Ale ich uroczą córeczka bez problemu bawi się z płowowłosymi dziećmi z bloku. I liczy się, że też jest dzieckiem w ich wieku, a kolor jest bez znaczenia, to tylko ilość pigmentu w skórze, na który nie mamy wpływu. A zatem

nie płaczę nad kryzysem, wręcz zapaścią demograficzną w naszym kraju. Bo, jakby powiedział Kandyd u Woltera, na najlepszym ze światów skończy się to ostatecznym unicestwieniem białej, katolickiej Polski.

Jeśli za parędziesiąt lat Rzeczpospolita będzie w ogóle miała rację bytu, będzie wielorasowa i wielokulturowa.

I w to mi graj!

ZUZ

Jestem za referendum

A może zamiast walić głową w mur, trzeba złapać PSL za słowo?

Mam bluźnierczy pomysł: może zrobimy to cholerne referendum aborcyjne? Na przykład razem z wyborami prezydenckimi. Albo – jeszcze lepiej – kwartał przed, żeby kandydaci „naszej strony” wiedzieli, czego się od nich oczekuje.

Tak, tak, wiem, że nad prawami człowieka się nie głosuje – ale przecież właśnie są one głosowane. I ostatnio przepadły, głosami posłów „koalicji demokratycznej”. Więc może pora, żeby odzepić się od wzniosłych zasad i zrobić coś, co zmieni choć kierunek zmian?

Komitety Bujaka

Prawdę powiedziawszy, mam dość tklive wspomnienia związane z referendum aborcyjnym. W 1992 r., jeszcze przed wprowadzeniem zakazu aborcji, ale już w trakcie debat na jego temat, olbrzymia akcja społeczna znana jako „komitety Bujaka” (Zbigniew Bujak był wówczas w polskim życiu publicznym postacią znacznej wagi) zebrała półtora miliona podpisów pod wnioskiem „o referendum w sprawie karalności aborcji”. Do dziś pętają mi się gdzieś po piwnicy promujące tę akcję

kasety magnetofonowe „Jestem za referendum” z piosenkami nagrami przez różne gwiazdy tamtych czasów od Kayah po Formację Niezwykłych Schabuff.

Sejm I kadencji, złożony z prawackiej drobny, wniosek o referendum odrzucił – ale wysiłek organizatorów, mobilizacja społeczna i jasno wyrażone żądanie 1,5 mln obywateli się trafiły tak całkiem do kosza: w ustawie antyaborcyjnej, jakkolwiek drakońskiej i wstecznej, znalazło się zdanie „nie podlega karze matka dziecka poczętego”. Warto przypomnieć, że pierwsze projekty przewidywały siedem lat więzienia dla lekarza i pięć lat dla kobiety, która podda się aborcji. Dziś termin „kompromis aborcyjny” brzmi oczywiście drwiąco i jest wytrychem, którym posługują się wrogowie praw kobiet, chcący uchodzić za ludzi cywilizowanych – ale wtedy rzeczywiście było to jakieś zwycięstwo. Byłam na obradach komisji, kiedy brzmienie tego zdania zaproponowała Izabela Sierakowska – i katoooszołomstwo strachliwie się zgodziło, właśnie ze względu na nastrój społeczny wywołany przez komitety referendalne.

Jeśli referendum było dobre wtedy – to w zasadzie dlaczego nie miałoby być dobre teraz?

Przypadkowe społeczeństwo 2.0

Na to pytanie usiłują odpowiedzieć Amnesty International i kolektyw Legalna Aborcja, które przygotowały petycję do Donalda Tuska. Wymieniają w niej „75 powodów, dlaczego referendum w sprawie aborcji to zły pomysł”. Szczere powiedziałwszy, im bardziej zagłębiałam się w ten bełkot, tym bardziej skłonna byłam uznać, że referendum jest OK.

Kwit powstał najwyraźniej metodą „burzy mózgów” – tej genialnej amerykańskiej koncepcji rozwiązywania problemów, opierającej się na zasadzie „powiedz, zanim pomyślisz”. Efekt nie zaskakuje. Wśród 75 punktów dominują mądrości z gatunku: „Społeczeństwo nie potrzebuje rozstrzygnięcia sporu, którego nie ma” (serio?!), „potrzebuje dostępu do legalnej i bezpiecznej aborcji”; „Na podstawie art. 125 Konstytucji referendum przeprowadza się w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa. Aborcja to doświadczenie jednostki, nie kwestia wagi państwowej”; „Referendum aborcyjne to badanie opinii przypadkowych osób” (to ostatnie to dosłowny cytat z wielkiej obrończyni życia lat 90. Haliny Nowiny-Konopczyny, która uzasadniała sprzeciw wobec referendum słowami: „o prawie do życia nie może

decydować przypadkowe społeczeństwo”; stąd tytuł tej paginy tygodnika „NIE”). I mój ulubiony: „Referendum aborcyjne to ostateczność wykorzystywana, gdy na drodze do ustawy leży przeszkoda. Nie uważamy, że są nią różnice w postrzeganiu aborcji przewodniczących Trzeciej Drogi”. To absolutnie genialny sposób patrzenia na rzeczywistość i zaraz go przejmuję. Na przykład: chcę mieć 35 lat i nie uważam, że przeszkoda jest fakt, że urodziłam się w 1972 r. (tak naprawdę wcale nie chcę, dobrze mi z moim wiekiem, ale lepszy przykład nie przyszedł mi do głowy). Fakt, że aktywistki proabo „nie uważają” rzeczywistości, nie-stety rzeczywistości tej nie zmienia.

Trudne warunki, ciężka sytuacja

W tych antyreferendalnych perłach mądrości na 75 punktów jest może z siedem, które mają jakiegokolwiek sens – i wszystkie odnoszą się do tego samego: że referendum tak naprawdę nie zmienia prawa, a jedynie inicjuje drogę prawną. Ustawa rzeczywistości mówi: „Właściwe organy państwowe podejmują niezwłocznie czynności w celu realizacji wiążącego wyniku referendum zgodnie z jego rozstrzygnięciem przez wydanie aktów normatywnych bądź podjęcie innych decyzji”. Zgoda: może to oznaczać, że po tym, jak suweren w referendum opowie się za dopuszczalnością aborcji, kwestia będzie musiała stanąć na sejmie i przejść normalną drogę legislacyjną.

Ale – po pierwsze – będzie musiała stanąć „nie później niż w terminie 60 dni od uznania ważności referendum rzez SN”. A po drugie, towarzyszące z Trzeciej Drogi będą twardo trzymanymi za jaja i naprawdę będzie im trudno zagłosować inaczej,

Po co depenalizować depenalizację?

Politycy postanowili, że skoro kobiety udają orgazm, to oni poudają, że są za prawami kobiet.

Przeciętna polska kobieta aborcyjne obietnice nowej władzy ma gdzieś. Mniej więcej w okolicach macicy, bo mimo zakazu, od dziesięciu lat, gdy nieopatrnie zaciąży, to i tak usuwa. Bez laski polityków, bez ryzyka i wcale nie za gigantyczna pieniądze.

By to dostrzec, wystarczy przyrzeć się statystykom. W 1983 r., ostatnim roku PRL-owskiego „baby boom” 9 mln Polek, będących wówczas w wieku rozrodczym, urodziło ponad 723 tys. dzieci. W tym samym roku Polki wyskrobały z siebie ponad 250 tys. niechcianych zygot w państwowych wówczas placówkach medycznych. I ze dwa razy więcej w prywatnych gabinetach ginekologicznych za niewielką kasę.

Od chwili, gdy zaczął obowiązywać zakaz aborcji, liczba porodów spada, by w zeszłym roku zejść do rekordowo niskiego poziomu 257,3 tys. Do czasu orzeczenia Trybunału Przylębskiej zakazującego aborcji w przypadku wady płodu, oficjalnych przerwania ciąży odnotowywano ok. 600–700 rocznie, w porównaniu do ponad 1800. Teraz jest ponad 150. Gdy dodamy do tego fakt, że niemal 10 mln Polek jest zdolnych do rozmnażania, przyjdzie wysnuć tezę, że nasze kobiety zostały lesbijkami lub popadły w uzależnienie od gadżetów autoerotycznych. Chyba że...

Pozbyć się wrzoda

Ten wielokropek jest odpowiedzią kobiet na restrykcyjne przepisy. Bo Polka – wbrew temu, co mogłoby się wydawać patrząc na większość posłanek PiS – seksualnie się udziela. W badaniach chwali się przecież, że jak jest mężatką, to skutecznie seks dwa razy w tygodniu. A jak jest singielką, to jeszcze częściej. A ponieważ inne badania wskazują, że skuteczną hormonalną antykoncepcję stosuje za ledwie kilkanaście procent ankietowanych – należy założyć, że tłumy kobiet w Polsce zachodzą w ciążę. Jednak dzieci z tych ciąży się nie rodzą, to zaś znaczy, że ciążę zostały przerwane.

Według demografów i ginekologów, w dzisiejszej Polsce usunięciu podlega co trzecia ciąża. Zupełnie tak samo jak w krajach Ameryki Łacińskiej. W liczbach bezwzględnych daje to ponad 80 tys. aborcji rocznie.

Porównanie z Ameryką Południową jest o tyle zasadne, że Polki i ich partnerzy stosują antykoncepcję o jedną trzecią rzadziej niż w krajach bardziej cywilizowanych. Bierze się to z niedouczenia i braku znajomości podstawowych pojęć z dziedziny roz-

mażania się. To oczywiście dzięki polskiej szkole, która edukację seksualną pozostawia internetowi.

Liczba ponad 80 tys. aborcji nie oznacza, że tyle kobiet się wyskrobało w gabinetach. Mamy wszak XXI wiek i tabletki, dzięki którym niechciane zygoty trafiają do kanalizacji.

I jest jeszcze tabletki „dzień po”. Średnio w miesiącu apteki sprzedają jej 25 tys. Zdaniem lekarzy, gdyby nie EllaOne, aborcji byłoby rocznie o 30 tys. więcej.

Najczęściej jednak, gdy niewiasta się zagapi i nie dostanie miesięczki, to po ratunek udaje się do wyszukiwarki internetowej. Na zagranicznych acz polskojęzycznych stronach są nazwy ogólnodostępnych środków na chorobę wrzodową żołądka lub tabletek na reumatyzm. Instrukcja zawiera sposób przyjmowania specyfiku i jego dawkowanie. Znaczy się – cztery tabletki jednorazowo pod język, aż do rozpuszczenia. I tak po trzykroć.

Polki nie byłyby jednak córkami tego narodu, gdyby porad feministek z Zachodu nie zmodyfikowały. Okazuje się bowiem, że substancja czynna leku jeszcze lepiej niż przez błonę śluzową jamy ustnej wnika przez wnętrze pochwy. No i ma bliżej do miejsca, w którym ma poczynić spustoszenia. Potem trochę bólu, jakieś krwawienie i ciąża z głowy.

Gdyby jednak krew waliła zbyt mocno, to panna w każdej chwili może wyładować w dowolnym gabinecie, nawet u ginekologa stosującego klauzulę sumienia. Nic jej nie grozi. Wywołane chemicznie poronienie wygląda dokładnie tak samo jak naturalne.

Specyfik na wrzody ma tę wadę, że wymaga recepty. I tę zaletę, że w każdej tabletkce jest więcej substancji czynnej. Poza tym niestety dużo kosztuje – 600–800 zł. Tańszy jest lek na reumatyzm, bo w aptece internetowej jest już za 70 zł, ale trzeba go zaaplikować znacznie więcej.

Sieć pomocy

Kombinować jednak Polka wcale nie musi. Za kilkadziesiąt euro od feministek z Niderlandów można w ciągu paru dni dostać przesyłkę z medykamentami specjalnie dedykowanymi aborcji. Bo WHO już od dawna propaguje aborcję farmakologiczną jako bezpieczną i na dodatek niewymagającą

niż lud postanowił w referendum, i zachować choć rąbek twarzy.

A jak lud postanowi?

Sondaże są raczej optymistyczne. Ipsos w marcu podał, że „legalnej aborcji do 12. tygodnia ciąży” chce 62 proc. badanych. W kwietniu Opinia24 ustaliła, że 50 proc. jest za „złagodzeniem”. W lipcu IBRiS-owi wyszło, że 53 proc. chce „dekryminalizacji”. Ludzie nie bardzo wiedzą, czego dotyczy pytanie – ale z zasady są raczej za prawami kobiet niż przeciw. Jeśli pytanie zostałoby sformułowane zgodnie z poprzednią liberalizacją – tą, którą w 1997 r. unieważnił Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem autorytetu demokratów, prof. Zolla – i mówiło o „ciężkich warunkach życiowych lub trudnej sytuacji osobistej kobiety”, można z dużą pewnością założyć, że wynik byłby po naszej myśli.

Jebanie koniczynki

Twarz nieudanej próby depenalizacji, Anna Maria Zukowska, zapowiadając kolejną próbę, która także się nie uda, mówi: „skoro jest to decyzja indywidualna członków klubu Polskiego Stronnictwa Ludowego, to indywidualnie będziemy z każdym rozmawiać na ten temat”. A równocześnie Marta Lempart dokonuje heroicznego aktu obywatelskiego nieposłuszeństwa, przyklejając kartkę z pięcioma gwiazdami i trzema koniczynkami (rozwiązanie rebusu: „Jebać PSL”) na drzwiach klubu parlamentarnego ludowców. Mam takie przeczucie, że nie jest to najskuteczniejszy typ perswazji.

Obserwuję debatę aborcyjną od 34 lat. I – z krótkim oddechem w roku 1997, kiedy to rządzącej le-

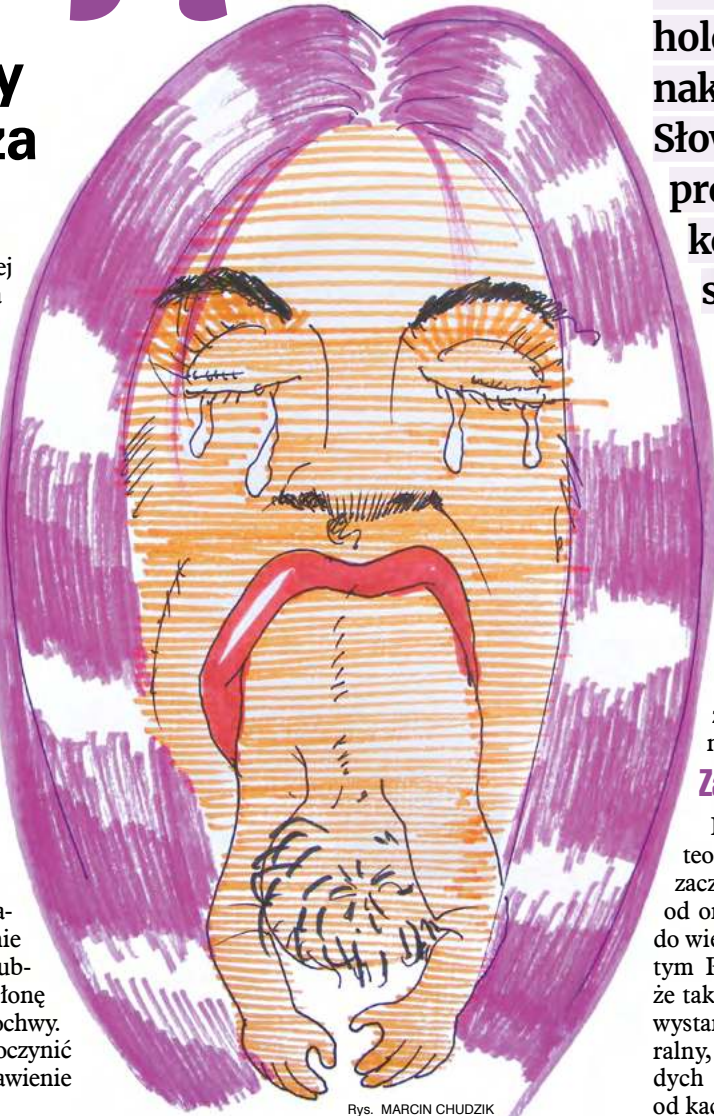
wicy udało się na 12 miesięcy zliberalizować prawo – ruch jest tylko wstecz; prawa prokreacyjne kobiet są konsekwentnie pomniejszane. Może warto zrobić cokolwiek, żeby odwrócić ten trend i choćby maleńkimi kroczkami ruszyć do przodu? PSL postuluje ustawę przywracającą tzw. „kompromis aborcyjny” – czyli kontratyp mówiący o uszkodzeniu płodu – a potem referendum. Obrończyni praw kobiet prychną z oburzeniem. Może nie mają racji? Z praktycznego, nie moralnego punktu widzenia.

Do końca kadencji Andrzeja Dudy mamy 10 miesięcy. Do końca kadencji tego sejmiku – 3,5 roku. Przed odejściem Dudy nic się nie da zrobić; ale przecież wiemy już, że pierwszą przeszkodą nie do pokonania nie jest bigot w Pałacu, tylko towarzysze broni z „koalicji demokratycznej” na Wiejskiej. Jeżeli jedynym sposobem na przekonanie ich do wejścia w XXI wiek jest referendum – może, zamiast przez trzy kolejne lata odbijać się od ściany w sejmie, po prostu trzeba się na nie zgodzić?

Potem jeszcze oczywiście trzeba by wygrać. Tego „kolektyw Legalna Aborcja” najwyraźniej boi się szczególnie – co objawi się we frazach takich jak: „Pomysł, by dawać prawo do decydowania w kwestii aborcji społeczeństwu, któremu od ponad trzydziestu lat sączono do głów antyaborcyjną narrację (zgodnie z którą płodom przyznaje się więcej podmiotowości niż osobom w ciąży), jest niesprawiedliwy” lub „Referendum to niebezpieczne narzędzie polityczne, które posłuży do manipulowania opinią publiczną”.

„Manipulować opinią publiczną” mogą obie strony. Zakasać rękawy i do roboty.

AGNIESZKA WOŁK-LANIEWSKA



kontaktu z lekarzem czy pielęgniarką. Wystarczy asysta kogokolwiek, gdyby się miało coś złego podziąć. Zaś złe rzeczy dzieją się jedynie dwa razy na 100 zastosowań aborcyjnej mieszaniny leków. Czyli pięciokrotnie rzadziej niż w przypadku konwencjonalnych skrobanek.

Tabletki poronne są dostępne w 70 krajach. Często od ręki; są też państwa, gdzie można je otrzymać od personelu medycznego w placówce medycznej. Polska jest jednym z niewielu krajów europejskich, gdzie nie jest są w ogóle zarejestrowane. Sposób użycia jest banalny. Łyka się Mifepriston, czeka 24 godziny, po czym pakuje się cztery proszki Misoprostolu dopochwowo, albo trzyma się 30 minut pod językiem. Po jakimś czasie zaczyna się mocniejsza miesiączka.

Polskie prawo antyaborcyjne na szczęście jest dziurawe. Kobieta, która przerywa własną ciążę, nie jest karana. Dlatego przeprowadzanie aborcji w domu za pomocą środków poronnych jest legalne. Na dodatek prawo farmaceutyczne zezwala na przywóz z zagranicy leków na własny użytek. Nawet gdy są niedopuszczone do obrotu w Polsce, można przywieźć lub zamówić do pięciu opakowań. Prokuratura i policja o tym wiedzą. I tak jak za PiS, tak i dziś mogą kobiecie naskoczyć.

Zdaniem ginekologów, farmakologicznym sposobem łałatwia niechcianą ciążę ponad 97 proc. niewiast. Wskazują na to dwie rzeczy. Pierwsza – gdy kobieta, u której stwierdzili wczesną ciążę, po 3 miesiącach w ciąży już nie jest. I druga, że lawinowo wzrosła w ostatnich latach ilość naturalnych poronień. Lawinowo, czyli czterokrotnie. A pamiętać trzeba, że do lekarza biega jedynie te, które dostały krwotoku, czyli niewiele.

Leki na wrzody i reumatyzm – jak i te specjalnie wymyślone do skrobania – mają jednak skuteczność ledwie 90 proc. Jeśli zatem nie uda im się odkleić zygoty od macicy, to niestety trzeba to zrobić w gabinecie. Tym samym, do którego trafiają panie w ciąży, które internetowi nie ufają lub są w okolicach 4. miesiąca, a dzięki opowieściom matek i babek oraz filmom na religijny wiedzą, że prawdziwa aborcja to tylko u lekarza.

Załatpują się na oldskulowe łyżeczkiowanie lub nowoczesne odsysanie. Odkurzacza nie można stosować, gdy zarodek ma więcej niż siedem tygodni. Po prostu końcówka go nie zassie. Łyżeczkiowanie musi być przeprowadzone przez dobrego fachowca, bo dyletant porobi blizny i kiedyś jakiś medyk z klauzulą zorientuje się, że był zabieg, to może spostonować pacjentkę. W myśl dzisiejszego prawa nic więcej jej nie zrobi, ale miłe to nie będzie.

Decyzja o robieniu skrobanki w gabinecie rodzi dwa problemy. Pierwszy natury finansowej. Drugi natury logistycznej. W kraju zabieg kosztuje po-

noć 6 tys. zł, ale mało która kobieta na takie krajowe rozwiązanie reflektuje.

Taniej kosztuje wizyta w klinice niemieckiej lub holenderskiej. O wiele jednak lepiej skorzystać z usług Słowaków. Kilkaset euro i po problemie. Nawet wliczając koszt paliwa i noclegu, jest się do przodu.

Wyborną sytuację mają kobity z okolic Suwałk. Na Litwie zabieg w klinice kosztuje dwa razy mniej niż na Słowacji. Jeszcze taniej, bo już za 100 euro, robią to szpitale na Białorusi. I mimo sankcji, klientki z Polski mają.

Badacze zjawiska uważają, że nadgraniczne kliniki pozbawiają ciążę jedynie kilka tysięcy Polek rocznie. Krajowi ginekolodzy raczej nie skrobia, co nie znaczy, że na aborcjach nie zarabiają. Przecież delikwentki stosujące aborcję farmakologiczną po pozbyciu się problemu, biegają prywatnie na USG, żeby sprawdzić, czy coś w nich przypadkiem nie zostało.

Zabijanie poczętych nie takie straszne

Prawo i Sprawiedliwość było władzą tylko teoretycznie prolife. Wiedzieli, że jakby zaczęli stosować prowokacje i śledzić przesyłki od organizacji kobiecych oraz masowo wsadzać do więzień, to na ulicach zaczęłyby się jatka. Poza tym PiS – jako partia hipokrytów – wiedziało, że tak naprawdę tym wszystkim obrońcom życia wystarczy przepisy. To one tworzyły klimat moralny, którym można było powiewać przy każdych wyborach oraz dostawać stosowne dotacje od kaczystowskiego państwa.

Można było też wygrywać propagandowo. Jak Ordo Iuris lub rzecznik praw dziecka, które to instytucje co miesiąc informowały media, że zgłosiły do prokuratury propagujące farmakologiczne przerywanie ciąży polskie organizacje, takie jak Aborcja Bez Granic, czy Aborcyjny Dream Team. I jakoś nikt z tych organizacji siedzieć nie poszedł.

Dlatego tak one, jak i inne organizacje samopomocy kobiecej finansowane przez kobity z całego świata, mogły łączyć środki przerywające ciążę, organizować i płać za aborcyjne wyieczki za granicę i doradzać, że jak się po wywołaniu miesiączki prochami łąduje w szpitalu, najlepiej powiedzieć, że to samoistne poronienie. Gdy zaś lekarz zobaczy w pochwie resztki tabletek, to należy stwierdzić, że się tabletki kupiło za granicą samemu. Wtedy nikt z bliskich czy wolontariuszy nie usłyszy jakichkolwiek zarzutów.

A nawet gdyby usłyszał, to pisowskie orzecznictwo w sprawach o pomocnictwo w aborcji sprowadzało się do tego, że jak ktoś wcześniej miał czyste konto karne i życzliwe otoczenie, to do kicia nie trafiał. Dotyczyło to każdej z osób ściąganych z tego paragrafu za PiS-u: i uniewinnianego każdorazowo lekarza, który miał trzy sprawy o wydawanie pigułek poronnych pacjentkom; i absztyfikanta panny, która pochwaliła się pogotowiem; że to on zorganizował tabletki; i mamusi, które zdobyły pigułki dla swoich córek, mających oprócz ciąży małe rozumki i długi język. Wszystkie te osoby dostawały co najwyżej rok, w niewielkim zawieszaniu.

Co zaś najciekawsze, wyroki te pokrywały się zawsze z tym, czego winaśował sobie prokurator. Dzięki czemu możemy śmiało stwierdzić, że dziwny był kraj, w którym władze prokuratury non stop opowiadały o życiu poczętym i zwalczaniu przerywania ciąży, zaś ich podwładni dla „wspólników zabójstw dzieci poczętych” wymagali kar jak za przechodzenie na czerwonym świetle.

Mimo gdyby pełnej walki z „zabijaniem poczętych”, pisowska władza robiła wszystko, żeby aborcję zwalczać wyłącznie na papierze. Hipokryzja ta była akurat nader chwalebna, bo dzięki niej zakaz aborcji w Polsce był i jest absolutną fikcją.

Dla normalnych Polek, w przeciwieństwie do polityczek i aktywistek, zmiana restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej na jeszcze bardziej restrykcyjną, nie miała najmniejszego znaczenia. Jak dawały, tak i teraz dają sobie doskonale radę z usuwaniem ciąży. Od lat mają wywalone tak na proliferów, jak na niemogące niczego zmienić feministki i obiecujących im prawa polityków. A nade wszystko, coraz bardziej mają gdzieś ustawę antyaborcyjną. Prawo równie żywe, co wyskrobana zygota, ale za to świetnie służące udawaniu, że niektórzy politycy chcą kobietom zrobić dobrze.

TADEUSZ JASIŃSKI

Dlaczego tylko moje pokolenie nazywa po imieniu ludobójstwo w Strefie Gazy?

Młodzieńcza choroba sprawiedliwości

Od momentu, gdy w Palestynie rozpięta się piekło, minęło już sporo czasu. Polskie media nieco straciły je z oczu – tymczasem dramat trwa nadal. Trwają również próby wyciszenia głosów poparcia dla Palestyńczyków. Co szczególnie smutne: w próbach tych bardzo aktywny udział biorą władze akademickie.

Policja udrażnia

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego, solidaryzując się z Palestyńczykami, zorganizowali protest, w którymzywano rektora Alojzego Nowaka do potępienia ludobójstwa w Gazie i zerwania współpracy z izraelskimi uczelniami. Mamy więc pokojowy protest świadomej młodzieży domagającej się sprawiedliwości w świecie. Wydawać by się mogło, że nawet jeśli władze uczelni mają inne zdanie w tej sprawie, to powinny docenić intencje. Polskie realia wciąż potrafią jednak zaskakiwać: tym razem interwencją policji w celu „udroźnienia ciągów komunikacyjnych”, jak informował rzecznik stołecznych mundurowych.

W ten sposób pokojowy protest studentów stał się przyczyną pierwszej w „wolnej Polsce” interwencji policji na terenie warszawskiej uczelni. Co więcej, protestujący mówią, iż pracownicy UW dopuszczali się wobec nich agresywnych, także rasistowskich zachowań. Wydarzeń z kampusu głównego nie sposób nie traktować jako próby siłowego uciszenia głosu młodych; głosu poparcia dla ofiar ludobójstwa. Władze renomowanej uczelni woła poświęcić swój wizerunek, byle uniknąć jednoznacznego wskazania ofiary i ochronić swoich

izraelskich partnerów, z którymi współpracy nie chcą studenci.

Wbrew narracji ambasadora Izraela w Polsce, Jakowa Liwne, poza drobnymi incydentami potępianymi przez samych protestujących, studenckie protesty nie mają wydźwięku antysemickiego, ani też nie są głosem poparcia dla terrorystów z Hamasu. Zarzuty antysemityzmu stawiane przez stronę izraelską każdemu, kto ośmieli się wyrazić się krytycznie o Izraelu, nikogo nie dziwią. Ale warto zdać sobie sprawę, że postawa studentów UW dość dobrze obrazuje opinię młodzieży, która jednoznacznie ocenia, kto w tym konflikcie jest agresorem, a kto ofiarą. Protesty na kampusie warszawskiej uczelni nie

były jedynymi; przykłady studenckiej solidarności z Palestyńczykami można znaleźć w niemal każdym uniwersyteckim mieście. Niestety, władze uczelni, na których protesty się odbywają, z zasady unikają zajęcia stanowiska. Rektorzy milczą, zapewne licząc, że temat ucichnie, brać studencka zapomni – i nikt nie zauważy w ich oczach strachu przed krytyką ze strony Izraela i proizraelskich mediów. Wyjątkiem jest Uniwersytet Jagielloński, gdzie w odpowiedzi na wystąpienia studentów senat podjął uchwałę wyrażającą „stanowczy i kategoryczny sprzeciw wobec wszystkich działań, dokonywanych w imieniu państwa Izrael oraz przez terrorystów z Hamasu, których bezpośrednią ofiarą jest bezbronna ludność cywilna”, a także powołały specjalny zespół, który bada, jak wygląda współpraca z izraelskimi uczelniami.

Ambasador unika

Bierność wykazuje też nowa, demokratyczna władza. Logicznym jest, że polski rząd próbuje pozostać neutralnym i utrzymywać poprawne stosunki ze zwaśnionymi stronami. Gdy jednak dochodzi do sytuacji, jak ta z kwietnia – gdy w Strefie Gazy zginął polski wolontariusz – od poważnego państwa należałoby oczekiwać poważnych i zdecydowanych działań. Tymczasem rząd wykazał oburzającą niemoc. Niedługo po tej tragedii, w głośnej rozmowie z Robertem Mazurkiem w „Kanałe Zero”, ambasador Liwne przez dwie godziny uciekał od wzięcia odpowiedzialności za zabicie Polaka przez siły izraelskie, insynuując równocześnie wszystkim innym Polakom wysłany z mlekiem matki antyse-

mityzm. Rozmowa wywołała oburzenie właściwie wszystkich stron sceny politycznej; ale jedyną konsekwencją okazało się wezwanie Liwne do MSZ i sprawa ucichła, podobnie jak kwestia śmierci wolontariusza. Czy gdyby na Ukrainie polski wolontariusz zginął od uderzenia rosyjskiej rakiety, sprawa również szybko zostałaby zamieciona pod dywan?

Wiadomo, że te dwa konflikty diametralnie się od siebie różnią, ale nie usprawiedliwia to sytuacji, w której władza wybiera, kiedy winnego należy potępić, a kiedy przysmykamy na coś oko. Przypomina to nieco przypadek z ukraińską raketą w Przewodowie: strona ukraińska również nie poniosła konsekwencji za śmierć obywateli Rzeczypospolitej, bo uznano, że skoro Putin rozpięł wojnę, to ofiary ukraińskiej obrony przeciwlotniczej też idą na jego konto. Wygląda więc na to, że niezależnie od tego, kto jest u władzy, Polska wartościuje winnego wedle kryteriów politycznych.

Takich przykładów jest więcej. Wywiad z ambasadorem Federacji Rosyjskiej, Siergiejem Andriejewem, który na początku wojny na Ukrainie ukazał się w tygodniku braci Karnowskich, wywołał nie lada falę oburzenia. Zaproszenie do kanału z milionowymi zasięgami ambasadora Liwne, człowieka reprezentującego państwo dopuszczające się – delikatnie mówiąc – wątpliwych moralnie działań wojennych, zostało uznane za przyzwoity pomysł i samo w sobie większego oburzenia nie budziło. W tych podwójnych standardach widać hipokryzję komentariatu, rządzących i poniekąd też nas samych – jako widzów politycznego teatru na arenie międzynarodowej.

Młodzi wiedzą

Gdy Francesca Albanese, przedstawicielka ONZ ds. palestyńskich terytoriów okupowanych, oskarżyła Izrael o zbrodnię ludobójstwa, ani polski rząd, ani nasze media nie kwapiły się do podjęcia debaty w tej sprawie. Ze strony polityków pojawił się nawet odwrotny przekaz. Radosław Sikorski stwierdził, że reakcja Izraela nie tylko nie kwalifikuje się, by być nazwana ludobójstwem, ale też samo używanie tej terminologii szkodzi sprawie. Wydawać by się mogło, że po stronie słabszych i poszkodowanych stanie polska lewica, ale te nadzieje swoimi wypowiedziami rozwiała Anna Maria Zukowska.

Takie działanie sprawia, że społeczeństwo obojętnie na krzywdy wyrządzane cywilom na Bliskim Wschodzie. Z badań CBOS-u wynika, że większość Polaków albo nie jest w stanie wskazać strony konfliktu, z którą bardziej sympatyzuje, albo ta sympatia rozkłada się równomiernie między Palestynę i Izrael. W swojej grupie wiekowej widzę jednak, że nie wszyscy są obojętni.

Nie spotkałem jeszcze równieśnika, który nie deklarowałby jednoznacznego poparcia dla strony palestyńskiej i nie widziałby niesprawiedliwości w reakcji świata na to, co dzieje się w Strefie Gazy.

Niesprawiedliwości związanej też z tym, jak łatwo, stając po stronie pokrzywdzonych, zostać posądzonym o antysemityzm lub wspieranie terroryzmu. Boli też, gdy widać, jak ktoś może więcej, gdy stoi za nim wujek Sam. I gdy ukraińskie władze – tak dobrze wiedzące, jak to jest być ofiarą bezpodstawnego ataku na swoje państwo i swą ludność – stają bez zastanowienia po stronie Izraela. Ciężko pozbyć się uczucia, że niechęć polskich władz i komentariatu do otwartej krytyki nawet nie tyle samego państwa, co ludobójstwa i brutalności sił Izraela, wynika właśnie z panicznego strachu przed narażeniem się głównemu sponsorowi izraelskiej armii. To niestety wiele mówi o naszym państwie, jeśli wyznacznikiem naszej moralności jest amerykocentryzm. Szkoda, bo warto być sprawiedliwym wśród narodów świata.

NIKODEM KUSZ

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Z matki Niemki i ojca Brytyjczyka urodził się w warszawskim zoo i rośnie jak na dróżkach uroczy azjatycki samczyk. Irbis śnieżny z podrodziny panter, występujący w Tybecie. Kwestie narodowości i państwowości młodego kota ustalone są na najwyższych szczeblach zarządu ogrodu zoologicznego. Biorąc pod uwagę wszystkie przytoczone okoliczności, najbardziej pasowałoby chyba, że jest Żydem albo sikhem.

■ Dwóm 54-latkom, mieszkańcom powiatu żnińskiego zarzucano uśmiercenie 300 piskląt kormoranów i zniszczenie 100 gniazd na Jeziorze Tonowskim (woj. kujawsko-pomorskie). Oba skazano na rok bezwzględnej pozbawienia wolności. Wędkarz oraz właściciel stawu przyznali się do winy. Twierdzili, że działali w obronie własnej, ale nie tylko. Kormorany mordowały ich prywatne ryby. Kwestie, dlaczego zabijać można bezkarnie np. indyki, a kormoranów nie można oraz co z tymi rybami uśmierconymi przez owe kormorany, nie były przez sąd brane pod uwagę.

■ Minister Nauki Dariusz Wieczorek wyda 173 mln zł na przebudowę infrastruktury Laboratorium Badań Polarnych w Antarktyce. Na Stacji Arctowskiego prowadzone są bowiem doniosłe badania nad rejestrowaniem zagęszczenia i różnorodności szkarłupni wraz z gradientem głębokości, celem prześledzenia zmian w zespole organizmów zwierzęcych związanych z płytkowodną strefą przybrzeżną. Polscy uczeni badają także dynamikę mas lodu otaczających kontynent. Dobra wiadomość dla polskiego podatnika jest taka, że minister nie planuje budowy polskiej

stacji badawczej na Saharze, w której można by mierzyć temperatury piasku oraz ustalać kierunki dominujących wiatrów odpowiedzialnych za przemieszczanie szczytów saharyjskich wydm.

■ W Toruniu radiowóz jadący na sygnale wjechał na skrzyżowanie ulic Andersa i Książewicza na czerwonym świetle. Uderzył w osobowe auto. Następnie dachował. Radiowozem przewożony był na komendę wcześniej zatrzymany przez funkcjonariuszy mężczyzna. Policja ustala sprawców zdarzenia. Nas zastanawia natomiast, kim był ten zatrzymany, że trzeba było go wieźć przez całe miasto, jadąc na wariata z włączonym kogutem. Zapewne musiał być to jakiś bardzo ważny toruński przestępca.

■ „Gmina Miejska Kraków oficjalnie przystąpiła do realizacji projektu CoolCo’s, którego celem jest pilotażowe stworzenie przestrzeni, gdzie stawia się czoło wyzwaniom w mieście, jakim jest rosnąca częstotliwość i intensywność fal upałów” – poinformowała gmina Kraków. Chodzi generalnie o dodatkowe wiaty zbite z nieheblowanej tarcicy, jutowych worków oraz blachy z beczek po ropie, które stawiane są obok klasycznych wiat przystankowych. Gmina Kraków twierdzi, że nie jest to marnotrawienie pieniędzy, bo te pochodzą z budżetu Komisji Europejskiej, czyli nie są nasze.

■ Nacjonalizacja mienia zagarniętego przez obcy kapitał dokonana przez PiS przynosi wreszcie skutki. Znikły kolejki do kolejki na Kasprowy Wierch w Zakopanem. Nie trzeba

już wystawać godzinami i piec się w słońcu. Po prostu idzie się do kasy, kupuje bilet, a potem śmiga na szczyt. Bilet normalny w jedną stronę kosztuje 115 zł, a ulgowy 95 zł. Przejazd góra – dół wart jest 139 zł, a ulgowo 115 zł. Wycieczka czteroosobowej rodziny do Hali Gąsienicowej kosztuje zatem ok. 500 zł. No i kolejki jeżdżą prawie puste.

■ Koncern energetyczny E.ON podał, że w Warszawie jest 36 tys. mieszkań, które rocznie zużywają tylko do 200 kWh prądu. Mniej niż przeciętna lodówka. Jest też 96 tys. lokali, które wykazują roczne zużycie prądu poniżej 500 kWh – czyli tyle, ile przeciętna lodówka. Jak łatwo się domyśleć z tej arytmetyki, w stolicy jest przynajmniej 123 tys. pustostanów.

■ Obywatele Gruzji mieszkający w Sopocie przez kilka dni zrywali zabezpieczenia i wynosili zestawy klocków Lego ze sklepów. 41-letni ojciec i 21-letni syn ukradli łącznie 11 pudełek. Mężczyźni zostali zatrzymani. Usłyszeli zarzuty. Grozi im do pięciu lat pozbawienia wolności. Łącznie 10.



Polska dla pijaków

We współczesnej turystycznej Europie nasz kraj jawi się jako tani wódzopój.

W Pizie, w średniowiecznych Włoszech, budowlancy zaniedbali fundamenty. Postawili na niepewnym gruncie wieżę, która się chybotnęła. Dzięki temu przegięciu mieszkańcy miasta żyją dziś w szczęściu, zdrowiu, pomyślności i nie narzekają na brak pieniędzy.

Pod Kairem parę tysięcy lat temu wpadnięto na pomysł, by poukładać kamienne bloki na siebie, a pod spód wsadzić zwłoki Cheopsa. Bloki były na tyle duże, że nikt ich nie rozkradł i dzięki temu inwestycja budowlana sprzed wieków generuje dziś pokaźny procent egipskiego PKB.

Nic tak nie ożywia jak trup

Różne są motywacje ludzi, by dokądś pojechać. Kraków niekoniecznie jest odwiedzany dlatego, że jest perełką renesansu. Również to, że przez dziesiątki lat mieszkał tam Wojtyła, nie jest dziś dla nikogo szczególnym magnesem. Miasto stało się turystycznie modne, bo zdaniem Niemców i Anglików można się w nim za niewielką kasę natchnąć i przy okazji skonsumować seksualnie chętną tubylczynię.

O dziwo, turystyczności Krakowa bardziej niż papież-Polak pomogli Żydzi. Ze szczególnym uwzględnieniem Stevena Spielberga i jego „Listy Schindlera”. Od czasu premiery każda zorganizowana wycieczka, zanim jej uczestnicy się nabombią pod Sukiennicami czy na Kazimierzu, pielgrzymuje na teren byłego obozu w Płaszowie. Obozu, o którego istnieniu przed powstaniem filmu nie wiedzieli nawet rodowici Krakowianie.

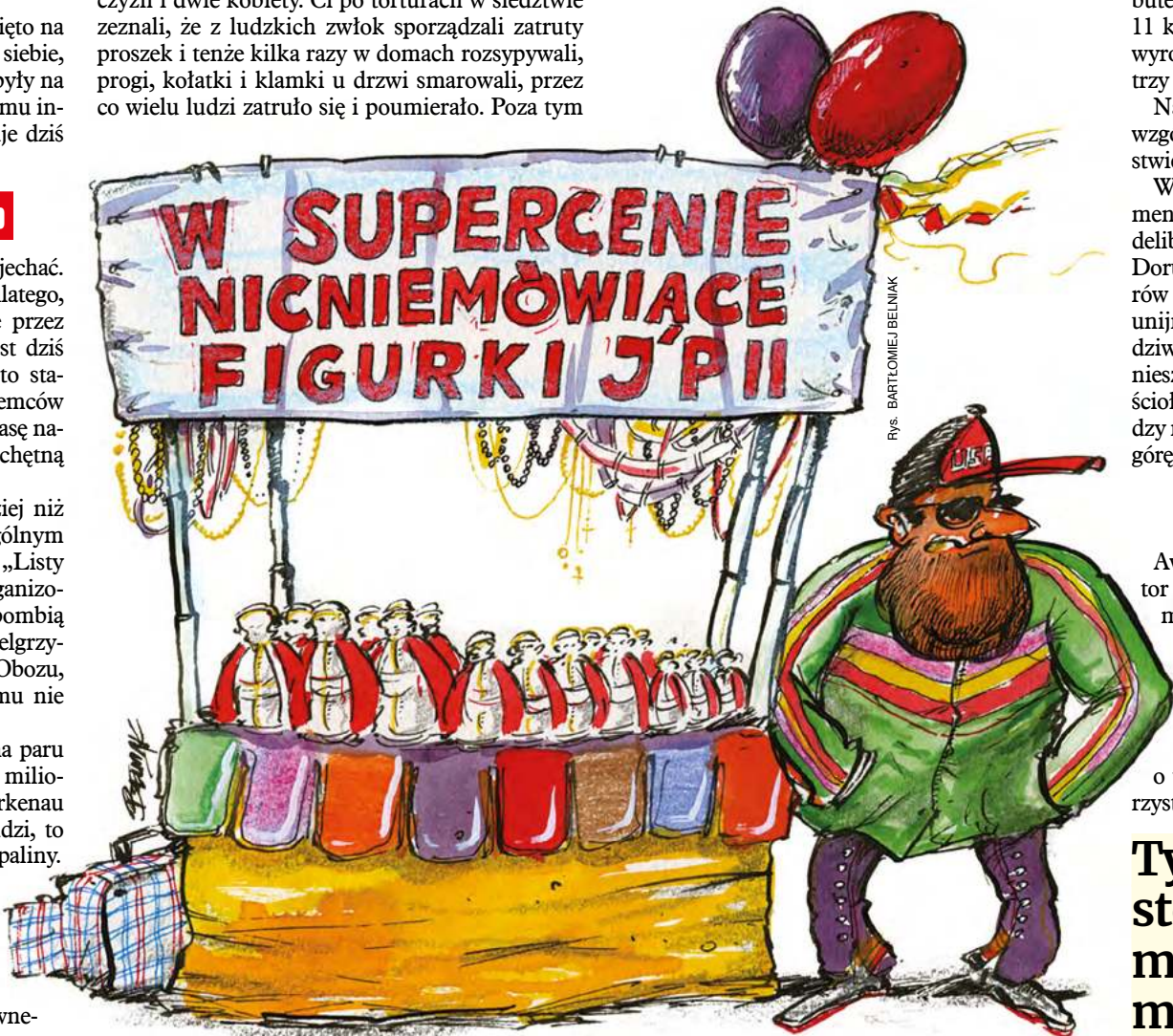
Przypadek piramid pokazuje, że nawet na paru trupach da się zarobić. Na paru tak, ale na milionie nie bardzo. Choć obóz Auschwitz-Birkenau odwiedzają co roku nawet dwa miliony ludzi, to miastu Oświęcim zostają po nich jedynie spaliny. Nikt nigdy nie zgodził się, by w okolicach muzeum powstał kompleks, w którym turyści mogliby się pozbywać nadwyżek finansowych. Nie można zatem kupić małej szubienicy, miniaturowej bramy z napisem „Arbeit macht frei”, czy choćby tylko gustownego breloczka z kominem krematoryjnym.

Przypadek Oświęcimia jest niezrozumiały w kontekście robienia geszeftu na truchłach 200 tys. Warszawiaków, którzy w ciągu 63 dni roku 1944 roztarli się z tym łez padole. W przeciwieństwie do Auschwitz, Muzeum Powstania Warszawskiego wina sobie pieniądze za bilety. W środku zaś można sobie kupić niemal każdy rodzaj powstańczej pamiątki i to na dowolnym nośniku. Od plastiku długopisu, po bawelną podkoszulka.

Dziecko szalonego naukowca

Miasteczko Frankenstein istniało sobie od XIII wieku do roku 1945, kiedy to zaczęło na-

zywać się Żąbkowice Śląskie. Miasteczko miało w historii kilka interesujących momentów, jak choćby taki z roku 1606, o którym ówczesna prasa pisała: „W mieście Frankenstein na Śląsku pojmano ośmiu grabarzy, wśród nich sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Ci po torturach w śledztwie zeznali, że z ludzkich zwłok sporządzali zatrute proszki i tenże kilka razy w domach rozsypywali, progi, kołatki i klamki u drzwi smarowali, przez co wielu ludzi zatruto się i poumieralo. Poza tym



w domach skradli wiele pieniędzy, a także obdzierali trupy, zabierając im opończe. Rozcinali także brzemiennie kobiety i wyjmowali z nich płody, a serca małych dzieci zjadali na surowo. Tamże z kościołów kradli obrusy z ołtarzy, a z ambony ukradli dwa nakręcane zegary. To sproszkowali i używali do swych czarów. Pewien nowy grabarz pochodzący ze Strzegomia zhańbił w kościele ciało młodej dziewczyny. Inni jeszcze różnie niesłychane i straszne czyny popełniali”...

Prawda historyczna nie ma zatem nic wspólnego z bohaterem Mary Shelley, czyli doktorem Frankensteinem. Ale przecież nigdzie nie jest powiedziane, że mieć musi.

zarówek, domaga się obniżenia składek ZUS dla kierowców, wprowadzenia minimalnych stawek za usługi transportowe oraz dofinansowania wymiany tachografów. Stowarzyszenie zapowiada, że jeśli te nierealistyczne postulaty nie zostaną spełnione, protesty będą się odbywać w każdą sobotę wakacji. Sami rozumiecie, co to oznacza.

Artur Jabłoński, prezes firmy IT Digitalix z Bydgoszczy, wprowadził jako pierwszy w Polsce urlop menstruacyjny dla swoich pracowników. Pracownicy przedsiębiorstwa uznały jednak, iż to zbyt duża ingerencja w ich prywatność. Nie będą korzystać z dobrodziejstwa. Chciał dobrze. Wyszło, jak zwykle.

Prezydent Radomia Radosław Witkowski pochwalił się, że w ciągu 19 lat obecności Radomia w Unii Europejskiej, spółka Wodociągi Miejskie pozyskała 450 mln zł środków z Brukseli, a wydała w sumie 800 mln zł. Za te pieniądze zmodernizowano istniejącą sieć wodno-kanalizacyjną lub wybudowano nowe odcinki o łącznej długości 400 km. Yhm... 2 mln zł za kilometr rury w ziemi?! Czyli 2 tys. zł za metr. Wydaje nam się, że na prywatnych budowach nie kosztuje to aż tyle. No, jakieś 10 proc. tej kwoty.

Jadący hulajnogą 68-latek potrafił prawidłowo idącego po chodniku pieszego w Białymstoku. Pieszuemu nic się nie stało. Hulajnogarz natomiast przewrócił się. Uderzył głową w trotuar. W rezultacie obrażeń zmarł. Policja poszukuje tego pieszego, aby postawić mu zarzut oddalenia się z miejsca wypadku i nieudzielenia pomocy.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, więc za ich ewentualną nieprawdźliwość i nierzetelność odpowiedzialności nie ponosiemy. Warte się nam jednak wydały powszechnej konsumpcji.

W środku miasta są ruiny średniowiecznego zamku. Co za problem, by je podpalić tak jak w paru innych miejscach i zrobić z nich siedzibę szalonego doktora? Co za problem, by przestać odwoływać się do piastowskich korzeni Żąbkowic, które nic komu na świecie nie mówią i poszaleć z nazwą Frankenstein? Zwłaszcza że miasto leży przy głównej drodze prowadzącej z Czech i południowych Niemiec do Warszawy. Przecież gdyby obok nazwy Żąbkowice Śląskie pojawiło się słowo

W końcu czarownicy poddano tak spektakularnym formom przesłuchiwań jak próba wody, następnie żelaza, by potem przejść do czynności jeszcze zmyślniejszej, takiej jak wyłamywanie kości ze stawów.

Opisy historyczne są nader interesujące. Kobiety uwięziono w pozycji kłęczącej w drewnianych beczkach z otworami, na których widniał napis mający odganiać złe moce – „Jezus, Maria, Józef”. Atrybutami sędziów podczas przesłuchań były: butelka wódki i krucyfiks z dwiema świeczkami. 11 kobiet przyznało się do winy i prawomocnym wyrokiem zostały skazane na spalenie na stosie; trzy zmarły w trakcie przesłuchań.

Na miejsce kaźni, zwane dziś przez miejscowych wzgórzem czarownic, skazane jechały w towarzystwie zakonników.

Właśnie – zakonnicy i krucyfiksy. Te dwa elementy stanowią o tym, że miejscowe władze od lat deliberują, co z tą tradycją począć. Przez ten czas Doruchów mógł zdrzec z miłośników tortur i czarów miliony. Mógł pozyskać pieniądze z dotacji unijnych, wybudować zaplecze turystyczne z prawdziwego zdarzenia i tuczyć się na niegdyśniejszym nieszczęściu. Tyle że miejscowa ekspozycja Kościoła katolickiego jest przeciw. W pojedynku między racjami, wizerunek Kościoła nieustająco bierze górę nad realiami ekonomicznymi.

Zanudzeni nieszczęściami

Awanturnik, podróżnik, literat, skrzypek, doktor prawa kanonicznego, finansista, dyplomata, mason, szpieg, matematyk, chemik i bibliotekarz. Wszystko to w jednym, który na dodatek nazywa się Casanova.

Nazwisko, które w większości języków jest synonimem seryjnego uwodziciela. Każda wioska w Stanach Zjednoczonych marzyłaby o tym, że są dowody na to, że włoski ogień skorzystał z wdzięków jej mieszkanki.

Tymczasem jest miasto, w którym Giacomo Casanova po-mieszkiwał niemal rok – o czym wiedzą tylko fani Oświecenia. Miasto nazywa się Warszawa.

Żeby tam tylko mieszkał! On brylował na dworze, knuł, spiskował i oczywiście seryjnie uwodził. A jakby tego było mało, to jeszcze pojedynkował się z powodu kobiety z *crème de la crème* lokalnej magnaterii, późniejszym przywódcą Targowicy, Franciszkiem Ksawerym Branickim.

Podczas zwiedzania Łazienek turysta posłucha nudnej gadki o obiadach czwartkowych i rozwoju sztuki wszelakich w epoce stanisławowskiej. Sprzeda mu się też może coś o drugiej na świecie konstytucji i o tym, jak źli zaborcy rozszarpali Polskę.

Nikt z zagranicy nic z tego oczywiście nie zapamięta. Gdyby natomiast posłużyć się ikoną o nazwie Casanova, dołożyć do tego, że ówczesny polski król był kochankiem kolejnej ikony Oświecenia – czyli Katarzyny II – to może nudne miejsce, jakim jest Warszawa, nabrałoby jakiegoś kolorytu. Martyrologia Powstania w getcie i tego drugiego, o którym poza Polską – mimo starań wszystkich opcji polityczno-historycznych – nikt nie słyszał, u przeciętnego niepolskiego turysty wzbudzi niewiele więcej ziewnięcia.

Sprzedawanie w zagranicznych przewodnikach Warszawy nie tylko jako miejsca dziecinństwa Chopina i miasta niepokonanego, ściągłoby zupełnie inny sort gości. I wcale nie wymagałoby to budowy infrastruktury. Łazienki stoją jak za czasów Casanova, Krakowskie Przedmieście też wiele się nie różni. Zmiany wymaga jedynie narracja. No ale tego już się przeskoczyć nie da.

Polska na horrorowo? Polska na wesoło? Ależ skąd! PiS wcisnęło wszystkim nieustająco takie atrakcje jak gehenna narodu, rodzina Ulmów i Karolina Kózka zespółona z rotmistrzem Pileckim tudzież Inką. Pomysł był głupi – ale chociaż był. Platforma i lewica nigdy nie miały pomysłu, jakimi środkami się posłużyć, żeby sprzedać światu Polskę jako kraj, w którym jest coś ciekawszego niż trzydniowa popijawa, zakończona gigantycznym kacem w samolocie. Taka, po której i tak się nic nie pamięta.

TOMASZ BOROWIECKI



Osobiście o ociepleniu

Od kiedy zajmuję się astronomią, mój punkt widzenia zdecydowanie się od Ziemi oddalił. Wysoce wszystkim rekomenduję. Wyobraźmy sobie wszechświat o rozmiarach 100 miliardów lat świetlnych – jeden taki rok to 9,5 biliona kilometrów – w którym znajduje się takie ziarno piasku jak nasza planetka. Trudne do wyobrażenia? Więc niech będzie, że jest to pyłek kurzu w naszej atmosferze, na którym żyje jakiś mikrobiom, pośród którego są takie bakcyle określające się politykami.

Politycznym bakcylom się wydaje, że wolicjonalnie mogą spowodować chciane przez siebie zmiany na tym pomijalnie małym kawałku kurzu. Rozumiecie! Cała ta maszynaria wszechświata działa zupełnie dobrze bez ich udziału, a w Brukseli – wyrażając się obrazowo – jakieś odrobiny białka, dafnie, wirusy, mają wrażenie, że siłą chcenia rozkazywać będą rzeczywistości.

Niech się stanie według słowa mego

To jest naprawdę śmieszne. Nie ma żadnych naukowych podstaw. Na gruncie matematyki, fizyki, chemii czy biologii nie wykazano istnienia wolnej woli. Mamy co najwyżej złudzenie takowej, podpierane przez fałsz Kościoła. Biskupi twierdzą, że człowiek ma wolę wolną i nieprzymuszoną. Kolejne zmyślenie z szerokiego garnituru nieporozumień, jakie chrześcijaństwo oferuje pod nazwą „prawd wiary”. Co gorsza, jest to zmyślenie powszechnie akceptowane: wszak skoro chce, to może.

To fundamentalne spostrzeżenie ma wartość o tyle, o ile dalej będzie o pomyśle polityków Komisji Europejskiej wpływania na globalne zjawisko, jakim jest klimat. Pomyśle zwanym Zielonym Ładem. Ow Ład jest etykietą absurdalnych postulatów ludzi cierpiących z powodu niezaspokojenia swego wielkiego ego, pod przywództwem chrześcijańsko-

-demokratycznej Urszuli Gertrudy von der Leyen z domu Albrecht.

Garnitur poglądów z pozoru słusznych jak cała chrześcijańska demokracja („chrześcijańska demokracja” to jakiś oksymoron), które inspirują różnego rodzaju eko-wariatów do czynów kryminalnych w imię ideologii pozostającej w sprzeczności z nauką i doświadczeniem. Chodzi o te wszystkie blokowania dróg, przykuwanie się łańcuchami do drzew i maszyn, żądania przymusowego siania trawy w miejscach utwardzonych nawierzchni, niejedzenia mięsa pod karą grzywny, bojkotów, okupacji i manifestacji.

Samoregulujący mechanizm

Nasza planeta powstała 4,5 miliarda lat temu z chmury gazów. Kiedy się zestaliła, temperatura na powierzchni wynosiła ponad 100 stopni Celsjusza. Aby wychłodziła się do warunków, w których woda występuje w stanie ciekłym, potrzebowała 500 mln lat. Od tamtego czasu sukcesywnie stygnie zgodnie z zasadą entropii. Doprowadziło to swojego czasu do trzech zlodowaceń i wyginięcia 70 proc. organizmów żywych. Życie oparte na białku zasadniczo potrzebuje temperatury powyżej punktu krzepnięcia wody.

Przypuszczalnie zlodowacenia ustąpiły z powodu większej aktywności Słońca, które stopiło cząstki lodowe na biegunach. Słońce w miarę starzenia wydziela bowiem coraz więcej energii. Obecna ciepota na Ziemi – która średnio rzecz biorąc wynosi 16 stopni Celsjusza i nie zmienia się od 100 tys. lat – zawdzięczamy bardziej ekspozycji planety na Słońce niż wnętrzu Ziemi złożonemu z płynnych metali o temperaturze 7 tys. stopni.

Według różnych danych, w ostatnich 100 latach średnia temperatura Ziemi wzrosła o 1,2 stopnia; albo o 2 stopnie w ostatnich 30 latach; lub wzrasta z prędkością 0,2 stopnia na dziesięciolecie. Słowem: tak naprawdę nikt dokładnie tego nie wie, nikt tego nie mierzył.

Jeden spisuje od drugiego, nie zastanawiając się nad sensem owych liczb. Korzysta się z tych danych dowolnie w celu podparcia publicystycznych i politycznych tez.

Natomiast brukselscy politycy, którzy wymyślili Zielony Ład – co generalnie miałyby oznaczać, że Europa w ciągu najbliższych sześciu lat miałaby się stać neutralna dla środowiska, czyli pozostawać w stanie, jakby ludzie tu w ogóle nie żyli – upierają

Myślenie konstruktywne

Sensowniejszym zatem się wydaje doprowadzenie jej tam, gdzie jej nie ma, na przykład na Saharę. To byłoby dobre rozwiązanie. Zalesiona Sahara pochłaniałaby nadmiar dwutlenku węgla, podnosząc zarazem globalną objętość biomasy.

Albo skoro na świecie miliard ludzi cierpi głód z powodu nieefektywnych metod uprawy klasycznych roślin w krajach zacofanych – a oceany stanowią, jak wspominałem, przeważającą powierzchnię ziemskiej biosfery – to może warto byłoby się zastanowić nad rolnictwem morskim? Albo podmorskim? Może to rozwiąże problem niedożywienia?

Aczkolwiek zdaje nam się, że produkujemy ogromne ilości energii, moc wszystkich – rzekomo szkodzących atmosferze – elektrowni globu stanowi 0,00000236 proc. całkowitej energii słonecznej docierającej do Ziemi w tym samym czasie. Słońce dostarcza 121 petawatów energii, będąc najważniejszym naszym źródłem ogrzewania. Tak naprawdę w ogóle nie potrzebowalibyśmy spalać czegokolwiek, gdybyśmy stworzyli system pozyskiwania energii z nasłonecznienia. Zabudowanie wspomianej, bezużytecznej i wyjałowionej Sahary choćby w jednej trzeciej bateriami słonecznymi zlikwidowałoby głód energii elektrycznej na całej planecie.

Są to pomysły, jakie przyszły mi do głowy i w obecnych warunkach technicznych wykonalne bez konieczności irytowania zwykłego człowieka. Lepsze od znczania się nad społeczeństwami poprzez nakładanie coraz dotkliwszych restrykcji, co do których nawet nie ma pewności, że przyniosą zakładane efekty.

Uszczęśliwianie na siłę

Tylko że takie pomysły nie przychodzą politykom do głowy. Każda władza w celu osiągnięcia jakiegoś postępu ma zawsze program negatywny. Łatwiej jest zakazać wjazdu biedniejszych aut do miasta, niż spowodować, aby wszyscy mieli takie, które spełniają wyśrubowane normy ekologiczne. Łatwiej jest zamknąć elektrownie na węgiel, niż zbudować siłownię słoneczną na innym końcu świata. Łatwiej zakazać używania plastiku lub obciążyć go dodatkowymi podatkami, niż stworzyć system jego odzysku lub cyrkulacji opakowań szklanych.

Program negatywny to jest zawsze coś, co pojawia się w politycznych umysłowościach w pierwszej kolejności. Zniszczyć stare na podstawie widzimisie, że nowe będzie lepsze. Immanentna cecha rządów, nawet tych mieniących się postępowymi. Nie ukrywajmy. Realny, humanistyczny, praktyczny socjalizm doprowadził w gruncie rzeczy do zacofania, odczłowieczenia i zniszczenia systemu, który dobry nie był – ale zastąpił go jeszcze gorszym. Generalnie instrumentarium wprowadzania Zielonego Ładu oparte jest na zabranianiu, zamykaniu, zniszczeniu, ograniczaniu. Natomiast kwestie pomysłowości załatwia się w sposób: myślcie, kombinujcie, projektujcie, a my damy na to pieniądze, bo niczego poza tym nie mamy. Najlepiej na zasadzie refundacji.

Ba! Skądinąd nawet wiadomo, że jak pojawiają się takie – powiedzmy – pozytywne koncepcje re-

się, że trzeba zakończyć emisję gazów cieplarnianych, bo się ugotujemy, bo kontynent stepowieje, a na Antarktydzie topnieją lodowce. Afrykę pochłonie pustynia.

Stąd pomysły na likwidację kopalń, samochodów, kominków w domach, ograniczania mobilności, stref bez samochodów, likwidacji przemysłu ciężkiego. Restrykcje nakładane na rolników, którzy za dużo i za dobrze produkują.

Błędna korelacja

Nie ma to sensu. Ciąg przyczynowo-skutkowy jest dziurawy. Generalnie powodem emisji gazów tzw. cieplarnianych (najbardziej szkodliwa jest rzekomo para wodna odpowiedzialna za 60 proc. efektu cieplarnianego) jest konieczność ogrzewania naszych mieszkań w zimie. W Europie jest za zimno, dlatego spalamy paliwa kopalne. Są one nadal zasadniczym źródłem energii. Byłoby zatem cieplej, gdybyśmy emitowali więcej tych gazów, głównie chodzi o dwutlenek węgla. Podniesienie emisji CO2 spowodowałoby, że w konsekwencji od października do kwietnia spalalibyśmy mniej owych paliw, co pozwoliłoby osiągnąć zakładany przez proekologicznych polityków efekt w sposób naturalny.

Czy rzeczywiście ocieplenie powoduje stepowienie? O ile znamy się na biologii, wzrost roślin zależy od czasu ekspozycji na słońce. Czym więcej słońca, tym przyrosty większe. Po wtóre ilości dwutlenku węgla w powietrzu. Czym go więcej, tym roślinkom dzieje się lepiej. Oraz ilości wody. Jak się zdaje, to brak tego ostatniego elementu najbardziej szkodzi zieleninie, bo pierwsze dwa pomagają.

Zamiast zakazywania ludziom jazdy samochodami i nakazywania ocieplania domów – co w niewielkim stopniu wpływa na ich energooszczędność – trzeba byłoby raczej rozwiązać problem niedostatecznego nawodnienia. Wody na planecie nie brakuje. Oceany stanowią 71 proc. jej powierzchni. Chodzi jednak o to, że miejscami jest jej nadmiar, a gdzie indziej głód, no bo od słońca wyparowała.



alnego posunięcia rzeczywistości do przodu, w wykonaniu władzy państwowej i administracji rządowej, to się po prostu nie udają. Wielkie inwestycje PiS-u – który rządził samodzielnie przez osiem lat niekrepowany koniecznością negocjowania polityki gospodarczej z żadną opozycją i dysponował nieograniczonymi środkami – po prostu nie wyszły. Przypomnijmy: Izera, CPK, energetyka jądrowa, mała energetyka jądrowa, przekop mierzei, polimery Police, orlenowskie olefiny. Klęska. Zmarnowane pieniądze, zmarnowany entuzjazm i wysiłki ludzi, które mogłyby zostać skierowane na prawdziwie efektywne działania.

Żle się dzieje, że wśród zwolenników Unii Europejskiej, do których należy, pojawił się brak krytycyzmu, dystansu i zdrowego rozsądku w ocenie jej poczyną. Skoro oni są przeciw, to my musimy być zawsze za. Tymczasem odwieczna mądrość matki natury nadal działa efektywniej niż facci, którym się zdaje, że mogą wedle swego widzimisie zabraniać i rozkazywać w warunkach tak naprawdę sporej ignorancji.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

Edward Redliński
– kronikarz wielkiej zmiany

Radosław Piesiewicz
– prezes z bilbordu

Krzysztof Pilawski
Konfederacja jak AfD

J.D. Vance
– pupil Trumpa idzie po swoje

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Między Lublinem a Londynem

Celem PKWN była granica na Odrze i odbudowa Polski

Jedni biegają, skaczą, rzucają.
Drudzy o tym piszą. Należę
do tych drugich.

moich

Pół wieku igrzysk

Gdyby nie dziennikarze sportowi i tysięczne armie pomagających im techników, o igrzyskach olimpijskich w Paryżu wiedziałoby niewiele kibiców. Przecież niemal codziennie odbywają się różne zawody w wioskach, miasteczkach, na podwórkach. Nikt, może poza rodzinami sportowców, ich nie śledzi – a przecież dostarczają niemało emocji.

Haluu, tu helikopter

Dzisiejsi dziennikarze sportowi z jednej strony mają łatwiej, niż my mieliśmy kilkadziesiąt lat temu. Dzięki internetowi mogą w każdej chwili błyskawicznie sprawdzić historię wyników, biografie zawodników, statystyki. My woziliśmy ze sobą zeszyty, w których zapisywaliśmy potrzebne informacje i w razie potrzeby szybko je kartkowaliśmy. Z drugiej strony, nie mają jak wcisnąć odbiorcom kitu, co – przynajmniej ze wstydem – nieraz nam się zdarzało. Przecież widzowie wszystko widzą na własne oczy.

Moją specjalizacją było kolarstwo. Obok peletonu nie jechały motocykle z kamerami telewizyjnymi, a w powietrzu nie fruwały śmigłowce. Co prawda przez pewien czas do obsługi Wyścigu Pokoju wprowadzono helikopter, który pokazywać miał ostatnie kilometry przed wjazdem na stadion (tak, mety umieszczano wówczas na stadionach), ale do nowoczesności było mu daleko. Niezapomniany red. Bogdan Tuszyński charakterystycznym głosem zgłaszał się: „Haluu, haluu, tu helikopter”. Trzeba było mu wierzyć na słowo, bo obraz na ekranie był tak niewyraźny, że równie dobrze mógł przedstawiać stację kolejową, a nie peleton. Sam reporter także nie za wiele widział, więc trudno powiedzieć, żeby jego relacja była precyzyjna.

Za peletonem jechały wozy prasowe. Co my mogliśmy z nich widzieć? Niewiele. Owszem, wychylaliśmy się przez otwarte okna samochodów, wycężaliśmy wzrok, ale niewiele to pomagało. Gdy utworzyła się czołówka, sędzia pozwalał samochodom prasowym pojechać za nią. Mogliśmy stwierdzić na własne oczy, kto w niej pracuje, a kto – jak mówią kolarze – jedzie na świadka.

W ogóle auta wielokrotnie podczas wyścigów wyprzedzały peleton; na szczęście prowadzili je doświadczeni kierowcy, więc do wypadków dochodziło rzadko. Na około 20 km przed metą ruszaliśmy ostro do przodu, aby zdążyć tam przed kolarzami i obejrzeć finisz.

Wynika z tego jasno, że nasze relacje w dużej mierze musieliśmy opierać na faktach, które przekazali nam sami kolarze. Na szczęście byli to porządni ludzie, nie uciekali przed odpowiedziami na zadane pytania, niczym pravicowi działacze pytani o posła Marcina Romanowskiego, ani nie łgali tak jak oni. To była prawdziwa symbioza. My nie moglibyśmy funkcjonować bez kolarzy, a kolarze bez nas.

Rewolucja montrealaska

Rozpoczęły się igrzyska olimpijskie w Paryżu, zostaliśmy więc przy największej imprezie czterolecia. Za moich czasów (a były to czasy, przypomnę, tzw. realnego socjalizmu) do zaszczytnej obsługi igrzysk delegowano szefów redakcji. Nam, szarym wyrobnikom, pozostawało pisanie sprawozdań na podstawie telewizyjnych relacji, redagowanie i wydawanie gazet. Ze stolicy wydarzeń dostawaliśmy od szefa tylko jakiś ogólny komentarzyk, a całą pracę organizowaliśmy sobie sami.

Z tym komentarzykiem też bywało różnie: coś takiego jak numery kierunkowe było ówczesnej naszej telekomunikacji nieznane. Trzeba się było łączyć przez centralę międzynarodową, a czas oczekiwania na połączenie nie był określony. Czasem w ogóle nie dochodziło do skutku.

Najbardziej utkwiły mi w pamięci igrzyska olimpijskie w Montrealu w 1976 r. To właśnie podczas



ILUSTR. PAVEŁ FERENC

nich dokonała się prawdziwa rewolucja telewizyjna. Rozciągnięto tysiące kilometrów kabli, każde zawody obserwowało tak wiele kamer, że miało się wrażenie, iż widzi się je z bliska. O szczegółach takich jak powtórki ciekawych akcji nawet nie wspomnę.

Po zakończeniu igrzysk gospodarze uznali, że taniej wyjdzie im wyrzucenie okablowania, niż zwinanie go i magazynowanie. My, wychowani w realiach socjalizmu, nie mogliśmy w to uwierzyć. Toż każdy w piwnicy miał skład przeróżnych niepotrzebnych materiałów, począwszy od zardzewiałych rowerów, poprzez połamane narzędzia ogrodnicze, aż po pułapki na myszy i szczury. Ejże, drodzy Kanadyjczycy, po co ta rozrzutność i marnotrawstwo? Sprowadźcie znad Wisły kilku fachowców, a nie zostanie wam ani jeden zbędny drucik! Wszystko będzie właściwie zagospodarowane i posłuży ludziom przez wiele lat.

Na koniec okazało się, że igrzyska skończyły się gigantyczną kląpą finansową i obywatele Kanady musieli je spłacać przez wiele, wiele lat, i nie wiem, czy do dzisiaj spłacili. Dobrze wam tak!

Nic nam Kanadyjczycy nie dali, ale

uszcześliwili świat fantastycznymi relacjami telewizyjnymi z zawodów. Miało to także negatywną stronę. Nic nie przyczyniło się bardziej do komercjalizacji sportu.

Wcześniej głównie kraje obozu socjalistycznego robiły amatorami stu-procentowych zawodowców. Teraz ruszył za nimi Zachód. „Amatorstwo w sporcie upada!” – głosiły prasowe tytuły na całym świecie, co dziś musi śmieszyć, skoro już nie tylko krajowe komitety olimpijskie i sponsorzy wynagradzają za sukcesy swoich zawodników, ale po raz pierwszy robi to światowa federacja. World Athletics nagrodzi złotych medalistów w konkurencjach lekkoatletycznych kwotą 50 tys. dolarów.

Płucka na kwaśno czy czysta

O ile pamiętam, nie pomstowałem tak bardzo z powodu upadającego ducha amatorstwa olimpijskiego, bo już nie byłem początkującym dziennikarzem. Byłem jak szczeniak, który otworzył oczy i zaczynałem orientować się, ile zakłamania jest w sporcie, który mimo wszystko kochałem i kocham. W ogóle polityką się nie bardzo interesowałem, nie pamiętam, czy w ogóle zauważyłem, że z przyczyn politycznych igrzyska w Kanadzie zbojkotowała większość krajów afrykańskich. Poza niektórymi konkurencjami biegowymi Afrykańczycy nie odnosili jeszcze znaczących sukcesów, łatwo to było przeoczyć.

Z igrzysk w Montrealu mam fajne wspomnienia. Wydawaliśmy wówczas trzy różne wersje gazety dziennie. Ze względu na różnicę czasu między Warszawą a Montrealem musieliśmy zatem po prostu zamieszkąć w redakcji. Drzemaliśmy na nadmuchiwanych materacach, żywił się w stołówce (niezapomniany smak płuck na kwaśno, dlaczego dziś ich nigdzie nie podają?).

Zyliśmy w wielkim napięciu. Zawody oglądaliśmy w telewizji, poszczególne wydania bardzo się różniły, musieliśmy uważać, żeby ktoś nie dostał tego samego sprawozdania dwa razy, a ktoś inny nie został pozbawiony fragmentu naszej twórczości. W odróżnieniu od niektórych olimpijczyków nie stosowaliśmy niedozwolonego dopingu (było o nim coraz głośniejsze). Całe igrzyska w Montrealu przepracowaliśmy na trzeźwo, dopiero gdy zgasł znicz, pozwoliliśmy sobie na małe piwko.

Nie mogę tego powiedzieć o kolejnych igrzyskach, w Moskwie – zapamiętanych głównie dzięki gestowi Kozakiewicza. Ze względu na rangę imprezy odbywającej się w kraju wolnych robotników, rolników i inteligencji, moja redakcja wyjątkowo delegowała dwóch dziennikarzy. Obok kierownika działu Andrzeja Lewandowskiego pojechałem i ja z zadaniem śmigania po obiektach i opisywania naszych sukcesów. Dlaczego ja? Nie byłem na pewno wirtuozem pióra, ale umiałem pracować bardzo szybko.

Tak też pracowałem, choć w stolicy Kraju Rad trudno było od czasu do czasu nie zwilżyć sobie gardła czymś mocniejszym. Moje alkoholowe wyczyny podczas igrzysk Moskwa’80 kilkakrotnie opisałem już na tych łamach, nie będę więc do nich wracać. Zresztą, nie ma się czym chwalić.

W związku z napaścią ZSRR na Afganistan moskiewskie igrzyska zbojkotowało wiele państw Zachodu, ale nie tylko, bo wśród bojkotujących były także np. Chiny i Albania. Naprawdę brak udziału sportowców ze Stanów Zjednoczonych i RFN obniżył rangę zawodów. Reprezentacje niektórych krajów przyjechały do Moskwy, ale wystąpiły pod flagą olimpijską, a nie narodową. Czy ten bojkot zauważyłem? Oczywiście – tak. Trudno było nie zauważyć. Czy o nim pisałem? Oczywiście – nie.

Dziennikarze, którzy mieli wyjechać do Moskwy, odebrali od władz stosowny instruktaż w Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie chodziło o ubiór czy o środki czystości.

O tym podczas instruktażu było niewiele (dowiedzieliśmy się tylko, że możemy sobie kupić elementy stroju polskich olimpijczyków, ale szkoda mi na to było pieniędzy). Przede wszystkim jakiś ważny towarzysz mówił nam, o czym powinniśmy pisać, a zwłaszcza – o czym nie pisać. Decyzja była taka, że bojkot krajów zachodnich należy przemilczeć, jakby w ogóle go nie było. Więc nie pisałem. Gdyby coś mi odbiło i napisałbym o bojkocie – a już nie daj Boże, iż przez ten bojkot medale są mniej cenne, bo konkurencja słabsza – cenzura by to i tak wykreśliła, a ja miałbym po powrocie do kraju nieprzyjemności. Po co mi to?

Widok z fotela na Natalię

Igrzyska w Paryżu oglądałem sobie z fotela ustawionego przed telewizorem. Jako emeryt mam na to dużo czasu. Technika poszła tak daleko, że obejrzyć dokładnie wszystko, co zechcę. Do wyboru nie mam jednego nadawcy, jak kiedyś, ale więcej stacji przekazuje obraz. Chwała im za to.

Wielką zaletą igrzysk olimpijskich jest to, że patrzy się na najróżniejsze dyscypliny. I nie chodzi mi o breaking, czy inne nowinki. Oczywiście króluje lekkoatletyka. Prawdę mówiąc, w niej pokładać będziemy największe medalowe nadzieje.

Bardzo mocno będę trzymał kciuki za Natalię Kaczmarek. Tuż przed wylotem do Paryża podczas zawodów Diamentowej Ligi w Londynie poprawiła własny rekord Polski w biegu na 400 m. Wynik 48,90 s. to najlepszy rezultat europejskiej biegaczki od 28 lat! Takie osiągnięcie powinno zapewnić medal olimpijski, o złoty będzie jednak trudno. Podczas wspomnianych zawodów Diamentowej Ligi nasza reprezentantka wcale nie przybiegła na metę pierwsza. Wyprzedziła ją Jamajka Nickisha Pryce z czasem 48,58 s.

Natalia Kaczmarek wie, jak zdobywać złoty medal olimpijski. Na poprzednich igrzyskach w Tokio wywalczyła go w wyścigu sztafet mieszanych, razem z Justyną Święty-Ersetic, Karolem Zalewskim i Kajetanem Duszyńskim. Powtórki jednak nie będzie. Decyzją trenera skupić ma się na starcie indywidualnym i udziale w sztafecie kobiecej.

„Czy ja bym podjęła taką samą decyzję?” – zastanawiała się Natalia Kaczmarek. „Pewnie bym o tym pomyślała, ale ufam trenerowi w stu procentach. On mnie przygotowuje i dotychczas wszystko wychodzi dobrze, więc poddaję się w pełni jego decyzji”.

Biegaczka nie lubi rozmów o medalowych szansach. Najpierw trzeba mieć medal na szyi, później można o nim rozmawiać. W ogóle Natalia Kaczmarek to nie tylko piękna kobieta (panowie, nie ma o czym marzyć, we wrześniu bierze ślub ze znanym kulomiotem Konradem Bukowieckim). Mam jeszcze kilku kolegów dziennikarzy sportowych, którzy jeżdżą na zawody, rozmawiają z ich uczestniczkami i uczestnikami oraz ich trenerami. Z Maciejem Petruczenką z „Przeglądu Sportowego” jadłem niedawno obiad. Opowiadał mi dużo o Natalii. Imponuje mu podejściem do wykonywanego zawodu (sportowiec to dziś przecież zawód).

– Jest niesamowicie dobrze poukładana – tłumaczył mi Maciek. – Tak dobrze, jak mało który nasz sportowiec. Dokładnie wytycza cele i drogę, jaką do nich dążyć. To naprawdę rzadkość.

Po tej rozmowie przy dobrym jedzonku stałem się kibicem Natalii Kaczmarek. Ma złoty medal olimpijski w sztafecie mieszanej, srebrny w sztafecie kobiecej, złoty medal mistrzostw Europy indywidualnie. I choć ona nie lubi mówić o medalach, ja mogę mówić otwarcie. Liczę na coś jeszcze do kolekcji.

Czy może być inaczej, skoro to ona podczas mistrzostw Europy pobiła rekord Polski, należący od 1976 r. do Ireny Szewińskiej?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący,
Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga,
Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 24.07.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Beata Szydło była najpopularniejszą polską pravicową eurodeputowaną, tylko chwilowo przyćmioną teraz przez konfederatkę Ewę Zajączkowską-Hernik. Szydło była już burmistrznią i premierką, a mogłaby być każdą, nawet zakonnicą... Może jednak zakonnicą nie, jeśli wziąć pod uwagę krótką przygodę członka jej rodziny z duchowieństwem.

– Jeśli ona może, to i ja bym mogła – powiedziała głośno Szydło, patrząc z zazdrością na telewizor, z którego dosłownie nie zniknęła Kamala Harris. – Jesteś od niej starsza – odezwał się diabeł, który tkwił w szczegółach. – O dwa lata – odparła. – Tyle co nic.

– Niższa. – Nie powiedziałabym... – Mniej zgrabna.

Szydło zazgrzytała zębami. – Chodzę na siłkę – warknęła.

– Prezes nigdy w życiu nie zgodzi się na twoją kandydaturę – szepnął diabeł z wyraźną satysfakcją w głosie. – To rzeczywiście jest argument...

– Ale przecież prezes jest tylko prezesem, a nie Panem Bogiem – dodał diabeł, a tym razem w jego głosie znalazło się coś ostrego, taka szpilczka.

– Mogłabyś zwrócić się do Jana Dudy – podpowiadał diabeł, a szpilczka zamieniła się w dosyć grubą igłę. – Jan Duda mógłby porozmawiać ze swoim synem Andrzejem... Szydło potrząsnęła głową.

– Jeśli prezydent kogoś poprze, to tego... Mastalerka – jęknęła ze złością.

– A jeżeli Mastalerkowi coś się stanie? – zapytał diabeł. – Czasem wystarczy nieznaczny ruch, skłon, podniesienie wzroku, centymetr w prawo lub lewo, silniejszy wiatr...

Szydło wzdygnęła się, a potem uczyniła znak krzyża. Diabeł nic sobie z tego nie zrobił.

– A nawet jeśli nie – ciągnął – to może zachorować. Choroby chodzą po ludziach...

– Wygląda na zdrowego... – Łysieje – mówił diabeł. – Czasem bije mu na głowę. Podobno aż dusi się od nadmiaru ambicji.

– Ale czy się udusi? – zapytała Szydło i aż przestraszyła się tego pytania. Diabeł wyjął zza pazuchy arkusz papieru i położył go na stole.

Szydło rzuciła okiem na telewizor i zapytała się w myślach, czy Harris też musiała podpisać jakiś cyrograf.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których
obie żyją



JOANNA SENYSZYN zachodzi w głowę, po co była zmiana władzy w RP, skoro buty te same. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** bardziej ekscytuje się zmianą władzy w USA.

Wołk-Łaniewska: – Ale jakie buty? Że niewy-czyszczone?

Senyszyn: – Nie, ideologiczne. W buty Kaczyńskiego najpierw wszedł Tusk w sprawie imigrantów, a teraz wchodzi Kosiniak-Amisz z wychowaniem patriotycznym, które ma zatrzymać aż dwie „rewolucje: lewacką i prawacką”.

– Tak, to mi nieco zaimponowało, że Kosiniak użył terminu „prawacka”. Ja go dość regularnie używam, ale ja pracuję w tygodniku satyrycznym...

– A on na froncie ideologicznym.

– Wyraźnie. A ja myślałam, że w ministerstwie obrony. Choć może to na jedno wychodzi, gdy żadna wojna nam nie grozi, ale trzeba, żeby lud becalował na zbrojenia bez marudzenia.

– Kosiniak-Kamysz tak kreślił swoją wizję: „Nie może być tak, że za każdą zmianą rządu będzie zmiana kanonu, listy lektur. Nie może być tak, że za zmianą kadencji rządu będziemy zmieniać bohaterów, o których uczą się nasze dzieci w szkole. Musi być trzon, który jest niezmienny. W Polsce jest miejsce dla naszych bohaterów – i dla Witosa, i Piłsudskiego, dla Dmowskiego i Daszyńskiego, Paderewskiego i Korfanteo, Jacka Kuronia i Kornela Morawieckiego”...

– Może się przejęczył i chodziło mu o Karola Modzelewskiego?

– O kogo by mu nie chodziło, ten cały pomysł jest seksistowski. Chłopom w ogóle nie przychodzi do głowy, że Polki też tworzą historię, więc w koncepcji PSL nie ma kobiet, bo wszystkie były poniekąd rewolucjonistkami: Konopnicka była – nawet czynnie – za związkami partnerskimi czy wręcz równością małżeńską; Irena Krzywicka za świadomym rodzicielstwem i prawem do aborcji, w dodatku bardzo kochała i męża, i Boya-Żeleńskiego.

– No i dwie wielkie polskie uczone: Kopernik i Skłodowska-Curie.

– Bo Kopernik oczywiście była kobietą.

– Może wyjaśnimy, że to nie jest cyt z „Seks-misji” tylko prawda historyczna. A przynajmniej historyczne podejrzenie. Wystarczy obejrzeć jej wizerunki: bez brody, z gładką twarzą, z lilią. Jaki facet na przełomie XV i XVI wieku goił się na gładko i portretował z lilią? Pomijając już kwestię: jaki facet wpadłby na to, że nie jest pepkiem świata?

– Wracając do PSL i jego walki z rewolucją: ponieważ w kanonie wartości konserwatywnych i nierewolucyjnych mieści się trwale małżeństwo...

– „Jako związek kobiety i mężczyzny”...

– ...nierozwalny, mam propozycję: niech Kosiniak osobiście napisze do podręcznika rozdział o powinności trwania w małżeństwie do śmierci. Niech zaprosi do współpracy Martę Kaczyńską i Jacka Kurskiego. Niech wspólnie napiszą, jak to się stało, że z pierwszymi drugimi połówkami bóg ich złączył, a biskup rozłączył.

– Prezydentównę to rozłączył nawet nie raz, ale chyba cały rozdział niepotrzebny, wystarczy, żeby napisali, za ile i komu.

– Zmieniając temat: były ambasador Magierowski żąda miliona złotych odszkodowania za o rok wcześniejsze odwołanie z Waszyngtonu, bo mu się ubzdurało, że zwyczajowe cztery lata mu się należą. Senator Bosacki – kiedyś ambasador w Ottawie, odwołany z placówki przez PiS ponad rok wcześniej – nazwał to warcholstwem. I oczywiście nie występował o żadne odszkodowanie.

– Magierowski musi być wkurwiony, bo jednak na złego konia postawił. On w latach 90. pracował w „Gazecie Wyborczej”, potem w „Newsweeku” i nawet był wicenacelnym „Rzeczy”. A potem poczuł, że wiatr się odwraca i poszedł do „Do Rzeczy”. Jak Andżej wygrał wybory, to red. Magierowski został rzecznikiem prezydenta, a potem było już tylko lepiej: wiceminister, ambasador tu i tam, w tym na Bahamach...

– Był też ambasadorem w Izraelu, ale kiedy przyjechał na chwilę do Polski, poprosili, żeby już nie wracał. Ciekawe, czy od pisowskiego rządu też się domagał odszkodowania?

– No to mu się zesrało po raz drugi, ale tym razem bez perspektyw. A chłop ponoć osiem języków zna! I na co mu to, jak go z dyplomacji wyrzucili? Zostanie z nimi jak chuj...

– Jak Himilbach z angielskim.

– Dokładnie.

– Ale a propos dyplomacji: „Kamala z przyciskiem nuklearnym jest gorsza niż małpa z granatem” – powiedział Andriej Sidorow, dziekan Wydziału Polityki Globalnej na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym (niegdyś szanownym), w niedzielny wieczór w głównym cotygodniowym talk-show telewizji państwowej.

– Wiesz, że wszystko co moskiewskie jest bliższe mojemu sercu, ale to debil jakiś. Kamala jest zachwycająca. Absolutnie ją kupiłam.

– I nie tylko dlatego, że nie jest Bidenem?

– Nie. Jest olśniewająca, błyskotliwa, charyzmatyczna, a Trump ogłosił, że to „radykalna lewica”. Jak rzadko zgadzam się z Trumpem. Choć moja mamusia uważa, że się za dużo śmieje i to niepoważne.

– Sztab Trumpa też tak uważa. Nawet błyskawicznie skompilowali filmik ze śmiechem Kamali, że niby jak głupi do sera. Zresztą już zrobili dużo fejków, które szkalują ją i Bidena, bo trumpiści w panice, a lgarstwo to ich znak rozpoznawczy.



– A propos Bidena: rozczuliłam się do łez, jak jego wielbiciele zaczęli go żegnać, po tym, jak już go wygnali z posady. Najlepszy był niejaki Van Jones, zatrudniony w CNN na stanowisku „starszy komentator polityczny”, znany z tego, że się popłakał na wizji, jak Biden wygrał wybory.

– I teraz też płakał?

– Jak bóbr, ale o to mniejsza, najbardziej mnie wzruszyło to, co mówił.

– Czuję, że sobie zapisałaś...

– Słowo w słowo. Słuchaj: „Ludzie mają złamane serca, nawet ci, którzy domagali się, żeby Biden się wycofał. To jest tak jak wtedy, kiedy musisz zabrać dziadkowi kluczyki do samochodu. I wszyscy mówią, że trzeba mu zabrać te kluczyki, a on walczy i walczy, i wszyscy mają dość, i w końcu odzyskujesz te kluczyki. I wtedy po prostu płaczesz. Bo to jest ktoś, kogo kochasz, ktoś, na kim ci zależy, ktoś, kto zawsze był, kiedy go potrzebowaliśmy, nie byłoby cię tu bez niego, i musisz mu coś odebrać”. Stwierdzam oficjalnie: porównanie ustępującego prezydenta USA do dziadka, któremu trzeba zabrać samochód, bo jest papu-kaku, to najbardziej ejdystowski tekst, jaki usłyszałam w życiu. A mówi to koleś, który „go kocha”...

– To się nazywa poziom ucha od nocnika. Ale z Ameryki płyną i dobre wieści: fundusz kampanijny Kamali zebrał przez 12 godzin 75 milionów dolarów od drobnych darczyńców – to najwięcej w historii amerykańskiej polityki.

– Mnie tam, szczerze mówiąc, lekko oburza, że Amerykanie wszystko przeliczają na pieniądze, na czele z demokracją, ale jest jak jest. Bez kasy kampanii się nie robi.

– Dlatego PiS się trzęsie ze strachu, że przez Ziobrę PKW nie przyjmie ich sprawozdania finansowego i nie dostaną subwencji, a to przez cztery lata 100 mln zł. Za rok na kampanię neo-Dudy będą musieli brać z kradzionego...

– A kradzione ponoć nie tuczy.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 308



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI